22 LISTOPADA
Nr. 1 Rok I.
WARSZAWA 1936

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 mil metra przez szerokość 1 szpalty (tam 6-cio szpaltowy) w tekście — 0.80 gr., ostatnia strona — 1 zł. Komunikaty specjalne (S) — 2 zł. Drobne — za wyraz 15 gr. Duże litery w ogłoszeniach drobnych liczy się jak za wyraz, a tłusty druk podwójnie. Zastrzeżenie miejsca 50% drożej. Administracja nie odpowiada za terminowy druk ogłoszeń.

Przyjmujemy tylko ogłoszenia firm chrześcijańskich.

Podbipięta

GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru 30 groszy

Redakcja i Administracja WARSZAWA, AL. UJAZDOWSKIE 39 tel. 714-67

Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł.

Konto P. K. O. Nr. 24545

Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148

O NORMALNĄ POLSKĘ

I. Paradoks Polski Współczesnej

Trwająca wojna domowa.

Życie polityczne w Polsce staje się coraz jaskrawszym paradoksem. Z jednej strony: różnice przekonań i programów politycznych są — we wnątrz społeczeństwa polskiego — coraz to mniejsze, opinia, w coraz to większej ilości spraw, zajmuje stanowisko jednomyślne. Z drugiej strony: wojna domowa między obozami politycznymi trwa nieprzerwanie, nienawiść bynajmniej nie słabnie ,rejestr krzywd i wzajemnych pretensyj wydłuża się w dalszym ciągu. (W 10 lat po przewrocie majowym Sejm i Senat zbojkotowane zostały przez większość wyborców, Bereza utrwaliła się zaś jako instytucja stała, a w przeciągu jednego tylko ostatniego roku, od października 1935, liczba zabitych i rannych podczas starć z policją i demonstracyj, idzie w setki).

Równoległa konsolidacja opinii.

W narodzie polskim, jak w każdym zresztą, w normalnych, mniej więcej, bytującym warunkach, widać już dziś daleko posuniętą zgodność poglądów, jeśli chodzi o naczelne zagadnienia polityki państwowej. Zgodność ta będzie się utrwalać i rozszerzać, obejmując coraz większy krąg spraw, poprzednio spornych: rzeczywistość polska jest jedna, zatem jedne z niej tylko, dla wszystkich obowiązujące wypływają najważniejsze wnioski i nakazy. Jasne jest też, iż utrzymanie się tych czy innych osób u steru państwa zaznaczy się, w sposób dodatni, albo ujemny, zależnie od talentów umiejętności, wartości moralnej i t. d. jednostek dzierżących władzę; główne zasady polityki polskiej pozostaną jednakże niezmienne, gdyż stanowią wspólną własność całego narodu i są przez wszystkich z równą szczerością i takim samym przeświadczeniem wyznawane. (Tak np. ktokolwiek objąłby rządy w Polsce, musiałby zwiększać siłę i sprawność bojową armii, budować Gdynię, dbać o przymierze z Francją, zachowywać dobre, sąsiedzkie stosunki z Rosją i Niemcami, powściągać separatystów ukraińskich i t. d., i t. d. Jedyny ważny bardzo wyjątek jakim wydaje się pod tym względem kwestja żydowska, omówiony będzie osobno pod punktem III).

Ponura bezsensowna groteska.

Dlatego też wojna domowa (zjawisko zawsze złowrogie, ale wytłumaczalne w wypadkach istotnego rozdwojenia w narodzie, np. w razie wielkich sporów religijnych i t. p.) — w naszych warunkach nabiera znamion ponurej bezsensownej groteski. Pomimo to wojna trwa, a nawet staje się coraz zaciętsza: obóz rządzący w jej rydwan wprzęga cały opanowany przez siebie aparat państwowy, obóz przeciwny na jej użytek poświęca wszystkie swoje zdolności i wpływy. Jedni i drudzy myślą jedynie, jak w wojnie domowej zwyciężyć, nie myśli nikt — jakby wojnę domową zlikwidować. Społeczeństwo zobojętniało, stopniowo przyzwyczaja się do tego układu stosunków, przestaje uważać go za coś rażącego. W tym położeniu stan rzeczy u nas coraz dokładniej upodobnia się do przykładów z Ameryki Południowej i Środkowej. Życie zbiorowe na czas dłuższy stabilizuje się na poziomie Guatemali czy Paragwaju.

II. Jego przyczyny

Anachronizm systemu konspiracji.

Oba wielkie obozy polityczne, walczące o władzę w Polsce odrodzonej, są formacjami przede wszystkim historycznymi. W obu rdzeń stanowią ludzie, którzy w okresie wojny światowej — i w latach poprzedzających ją — mieli sprzeczne orientacje polityczne i w ich wyniku znaleźli się po dwóch przeciwnych stronach okopów. Ten rozłam w narodzie tak głęboki, który dziś nie mógłby się już powtórzyć, będący skutkiem nienormalnych stosunków, wypływających z podziału Polski i jej niewoli, zostawił w psychice silne bardzo urazy i nałogi, z których politycy tamtych czasów nigdy się już zapewne nie wyleczą. Jeżeli wszakże ten swój sposób myślenia potrafili oni zachować i narzucić, umożliwiła to — w głównej mierze — ta okoliczność, że obie grupy przez lat dziesiątki wychowywały się w systemie konspiracyjnym. (Liga Narodowa, tajne związki piłsudczyków).

System taki sprzyja wojnie domowej bezpośrednio:

a) stwarzając, drogą zobowiązań i przysiąg, bariery pomiędzy ludźmi, niejednokrotnie podobnie myślącymi i czującymi, i wykluczając, między członkami dwóch różnych konspiracyj, szczerą, lojalną, na solidarności narodowej opartą współpracę;

b) wychowując w członkach tajnych związków ducha megalomanii i wyłączności, ze wszystkimi wynikającymi stąd następstwami.

Jednocześnie — w naszych dzisiejszych stosunkach — system ten sprzyja wojnie domowej pośrednio, przyczyniając się do utrzymania politycznego „status quo", udaremniając wszystkie poważne próby jego zmiany. Dzieje się to:

a) przez hierarchię stopni konspiracyjnych, gdzie członkowie awansowani są przy pomocy kooptacji, co jest rękojmią trwałego zachowania władzy w rękach istotnych kierowników i równocześnie ułatwia najskuteczniej krępowanie inicjatywy szczebli niższych;

b) przez przesunięcie aktu właściwej decyzji z organów jawnie działających na tajne, tak, że kto inny wykonywa i firmuje nazewnątrz, kto inny zaś rozporządza wpływami ukrytymi i rozstrzyga; w tym stanie rzeczy bowiem jedni i drudzy stają się, w praktyce, nieodpowiedzialni za popełnione błędy, co — łącznie z konspiracyjnym obowiązkiem solidarnego popierania i osłaniania „swoich ludzi" — daje w wyniku zabezpieczenie przed skompromitowaniem się czymkolwiek i nieprzerwane pozostawanie tych samych grupek ludzi u steru, niezależnie od owoców ich działalności i ujawnionych w niej kwalifkacyj.

Wyczerpana użyteczność.

W dobie niewoli, zwłaszcza w jej ostatnim półwieczu, gdy nic nie zostawało już z urządzeń przedrozbiorowych Rzplitej, tajne organizacje stały się u nas jedyną instytucją polityczną, w której naród mógł przechować ciągłość swych celów, jedyną żywą tradycją form politycznego działania, z jaką weszliśmy do odbudowanego państwa. One wyłaniały z siebie, kierując nimi w dalszym ciągu, jawne organizacje partyjne (np. Stronnictwo Demokratyczno - Narodowe stworzone przez Ligę Narodową) i wojskowe (np. Strzelec, P. O. W., zawiązywane przez konspirację piłsudczyków). One w okresie wojny światowej powoływały do życia zaczątki polskiej armii, dyplomacji i t. d. Nie dziw przeto, że członkowie ich przyzwyczaili się to wszystko (i wszelkie wogóle jawne instytucje Polski odrodzonej) uważać za niejako emanacje tajnych związków, po dawnemu zależne od nich i potrzebujące ich kierownictwa. Urzeczywistnieniu tej myśli naczelnej (oddania całej władzy ludziom z konspiracji) sprzyjają zarówno normy ustrojowe, jak statuty partyj politycznych w naszym państwie. Tą myśl naczelną również nadal odnajdujemy w licznych urządzeniach ostatniej doby, w ustrojach organizmów politycznych wielkich i małych.

Legat wojny domowej.

Współzawodniczące z sobą obozy mają odmienny całkiem pogląd na przebieg zdarzeń historycznych w ciągu ostatnich 50-ciu lat, przede wszystkim na własną w nich działalność i zasługę, i te swoje sprzeczne oceny wypadków dziejowych (ze wszystkimi zadawnionymi namiętnościami i urazami) jaknausilniej starają się wszczepić w przeświadczenie generacjom następnym. Całe niemal t. zw. „wychowanie państwowe", jak niemniej cała walka z nim na terenie młodzieży, obracało się — w istocie rzeczy — dokoła tego zagadnienia. Można rzec, że główny wysiłek pedagogiczny starszych wobec młodych, sprowadził się — we wskrzeszonej Rzplitej — do tego, by ten „święty legat" wojny domowej i rozdwojenia narodu przekazać, za wszelką cenę, w najdalsze pokolenia.

W wyniku, od szeregu lat, obie grupy zastygły niejako w postawie walki wzajemnej, w tych samych ciągle, nigdy nie zmieniających się grymasach i gestach.

III. Jego skutki

Poczucie nienormalności.

Trwająca od lat wojna domowa sprowadza najszkodliwsze w życiu polskim następstwa, wśród których najważniejsze:

1) zły stan psychiczny, złe „samopoczucie" narodu, dolegające wszystkim, choć nie widzą jasno jego przyczyn, stan obustronnej podejrzliwości i obłudy, rozdrażnienia (uniemożliwiającego częstokroć, nawet na gruncie czysto towarzyskim, spokojną wymianę zdań między przeciwnikami politycznymi), stan, nakoniec, rozgoryczenia i przygnębienia, skutek widoczny przesyconej nienawiścią atmosfery, którą przy tym układzie stosunków politycznych każdy oddycha. W owej wojnie wewnętrznej właśnie, tlejącej jawnie, albo skrycie od pierwszych dni odbudowy państwa, tkwi wyjaśnienie zjawiska, że jako naród nie przeżyliśmy w dostatecznym stopniu radości, którą winno było z nas wydobyć wyzwolenie, że niedość dotąd zaznaliśmy płynącej zeń pełni szczęścia, jako poczucia swobodnego, normalnego całkowicie bytowania;

Upadek kultury politycznej.

2) obniżenie poziomu życia politycznego z dwóch przedewszystkim powodów: a) w każdej wojnie, więc i w domowej, najcenniejszym przymiotem jest cnota karności, i według tego kryterium naczelnego dokonywa się dobór zespołów kierowniczych w obu współzawodniczących ze sobą obozach; stąd, po obu stronach, funkcje „elity" coraz wyłączniej skupiają się w ręku ludzi, których cechą najwybitniejszą jest posłuszeństwo ,a ten stan rzeczy znaczy swoje piętno zarówno na życiu wewnętrznym i gatunku twórczości umysłowej każdej z grup, jak i wogóle na całości stosunków politycznych w kraju, b) wojna, także i domowa, nie stwarza warunków dla objektywnej oceny zagadnień spornych, rodzi natomiast zapotrzebowanie na propagandę, możliwie najjaskrawszą, celem „podtrzymania ducha" we własnych szeregach i „siania niepokoju" w zastępach wrogich; stąd strywializowanie myśli politycznej, sprowadzonej do roli agitacji i reklamy, nieliczącej się z prawdą, posługującej się argumentem tandetnym i prostackim, a wobec tego nie tylko nie podnoszącej kultury społeczeństwa, ale naodwrót, degradującej je pod względem moralnym i umysłowym;

Bezradność wobec wielkich zadań.

3) niezdolność rozwiązania wielkich, stojących dziś przed narodem zadań, jak sprawa Kresów (jest oczywista, że naród skłócony nie ma w tym stopniu siły atrakcyjnej, jaką posiadałby, nie trwając w rozterce), a nadewszystko pierwsze miejsce obecnie zajmująca — kwestia żydowska.

Społeczeństwo polskie, zwłaszcza w młodszych swoich pokoleniach, jest właściwie zgodne zasadniczo co do tego, że żydostwo jest żywiołem obcym, nie nadającym się do asymilacji, który od wpływów na kształtowanie się życia polskiego należy z tej racji oddalić. Świadomość ta coraz szybciej precyzuje się w powszechnie wyznawanym programie izolacji (przy pomocy przepisów konstytucyjnych i wogóle ustawowych, polityki władz, zorganizowanej akcji społeczeństwa i t. d.): naród normalny zarządu swoich spraw nie może podzielać z obcymi, ani zostawiać im wykonywanie ważnych funkcyj (kulturalnych, gospodarczych), w swoim organiźmie zbiorowym.

I tutaj wszakże postęp na tej drodze jest tamowany dzisiejszym w narodzie polskim rozdwojeniem. Jedna ze stron, łącząc rozstrzygnięcie sprawy żydowskiej z kwestją zwycięstwa swego w walce o władzę, odstrasza od zajęcia się tym swoich przeciwników, a przedstawiając każdy objaw antysemityzmu wśród nich, jako pękanie spoistości partyjnej ich obozu, jako zapowiedź swego triumfu, a ich rozbicia i katastrofy, budzi wśród tych ostatnich ducha fałszywej lojalności, zachęca do utrzymywania bez zmian istniejącego stanu rzeczy. Co gorsza, owa właśnie druga strona, w zaślepieniu namiętnością walki, nie waha się przeciwko Polakom o odmiennych poglądach posługiwać się jako sprzymierzeńcem żydami i te usługi rozmaitymi koncesjami wynagradza. W tym położeniu zagadnienie żydowskie znalazło się jak gdyby na martwym punkcie, bez możliwości pomyślnego rozwiązania.

Pesymizm i komunizm.

Zła atmosfera życia publicznego w Polsce, obniżenie się jego poziomu, bezradność wreszcie wobec wielkich zadań narodowych napełniają kraj rosnącym wciąż poczuciem beznadziejności i zniechęcenia. W tym stanie rzeczy jedni, często najbardziej ideowi i patriotyczni, ustępują coraz gromadniej z pola pracy politycznej, zaczynają interesować się wyłącznie swoimi troskami prywatnymi; inni, nie widząc wyjścia z teraźniejszych stosunków, a nie umiejąc pogodzić się z ich trwaniem, rozgoryczeni i zawiedzeni wypatrują ocalenia w hasłach i obozach skrajnych. Jest oczywiste, że dzisiejsze nastroje komunistyczne u nas—czy to wśród warstwy oświeconej, czy wśród mas — mają swe źródło nie w rozszerzeniu się znajomości doktryn Marksa, ani w sympatiach do Z. S. R. R. i jego ustroju, lecz są jedynie przeciwstawieniem się współczesnej rzeczywistości polskiej, wyrazem niezadowolenia z niej i utraty wiary w możliwość naprawy.

IV. Wnioski

Jaka jest, w tych warunkach, droga wyjścia?

Odrzucenie programu rewolucji.

Nie będzie nią, oczywiście, przewrót rewolucyjny, który, gdyby uwieńczony został sukcesem, nie byłby zgoła zakończeniem wojny domowej, ale przeciwnie, jej szczytowym punktem nasilenia, jej utrwaleniem ostatecznym, z tą jedynie różnicą, że zmieniłyby się role i pozycje strategiczne obu walczących ze sobą obozów. Kto zamyśla więc o przewrocie, zamyśla tym samym na stałe zaprowadzić w Polsce obyczaje polityczne, panujące w Ameryce Południowej i Środkowej.

...I tembardziej kapitulacji.

Nie jest również bynajmniej drogą wyjścia program kapitulacji jednej ze stron, uznania przez nią zwycięstwa przeciwnika i zaciągnięcia się pod sztandary triumfatora. Program taki jest z dwóch przyczyn i nierealny i szkodliwy:

a) nigdy nie pójdą za nim wszyscy członkowie grupy pokonanej, pozostaną najszlachetniejsi, którzy broni nie złożą, a ich wytrwałość, niezłomność wobec prześladowań zawsze budzić będzie zapał wśród pokoleń następnych, które dochodząc do lat, uzupełniać będą świeżym dopływem luki w szeregach; wojna domowa będzie też nadal trwać, może nawet stanie się jeszcze zaciętsza;

b) wygrana jednej strony w walce, posłuch, narzucony wczorajszym przeciwnikom, muszą zachęcać młodsze, energiczniejsze żywioły do ponowienia eksperymentu, do prób zdobywania, przy pomocy tych samych metod, podobnego powodzenia.

Bije w oczy wpływ, jaki na wzrost rewolucyjnych nastrojów wśród najmłodszych — zarówno z ugrupowań nacjonalistycznych, jak lewicowych — wywiera nieświadomie dla nich t. zw. „wychowanie państwowe" i wogóle apoteoza zwycięzców w walce wewnętrznej, pospołu z całą, poświęconą temu kultowi, propagandą.

Zatem: nie triumf w wojnie domowej jednej ze stron, ale zgodne odrzucenie wojny domowej przez naród, jest jedyną drogą wyjścia z dzisiejszego położenia.

By na nią wkroczyć, niezbędne jest wyrwanie się z ustawicznego przebywania w kręgu tradycyj politycznych ostatnich lat kilkudziesięciu, tradycyj, które kłócą i dzielą, sięgnięcie natomiast do dawniejszych do tych, które łączą, będąc własnością nie tych, czy innych zespołów, poszczególnych, ale powszechną, całego narodu. Jest to tym konieczniejsze i łatwiejsze, że właśnie wielkie kontrowersje polityczne ostatniej epoki (powstania, czy ugoda?, „czyn orężny", czy zabiegi dyplomatyczne? niepodległość części Polski, czy zjednoczenie pod berłem cara?), jakikolwiek byłby o nich sąd historii, najmniej nadają się — w dzisiejszych odmiennych całkiem stosunkach — jako punkt wyjścia przy układaniu sensownych wskazań programowych na przyszłość.

Rzeczywistość narodowej wspólnoty.

Przede wszystkim wszakże trzeba przywrócić praktyczną wartość polityczną pojęciu „naród", niepomniejszając go do jednej partii, czy obozu, nie traktując go, jako „ideologii", czy doktryny, ale jako fakt najbardziej konkretny, fakt wspólnoty podstawowych poglądów uczuć i dążeń wszystkich Polaków, niezależnie od organizacyjnych podziałów. Należy widzieć naród, jako rzeczywistość, trwały twór tysiącletnich dziejów, co nie wymaga sztucznych spoideł w postaci konspiracyj, ani nie potrzebuje być „brany za łeb" przez tę lub inną, narzucającą mu swoje władztwo grupę.

Dla szerzenia tych prawd zbędne byłoby powoływanie jakiegoś nowego stronnictwa: w momencie, kiedy głównym złem jest przewaga węższych solidarności nad narodową, tworzenie współzawodniczących ugrupowań tego typu przyczyniłoby się jedynie do powiększenia wzajemnych nieufności i chaosu. Obowiązkiem, naodwrót, jest planowy wysiłek w tym kierunku, by idee, powyżej wyłożone, weszły do świadomości członków i przywódców organizacyj istniejących, nadewszystko zaś młodszego ich pokolenia. Młodzi, mimo całego, okazanego dotąd braku samodzielności umysłowej, mimo przejęcia form działania politycznego i haseł od generacji poprzedniej z natury rzeczy łatwiej wyzwolą się spod sugestji wojny domowej, która dla nich jest czemś narzuconym i której sens, z postępem czasu, coraz to mniej będzie się im wydawał zrozumiały. Od młodszych też z natury rzeczy wyjść musi inicjatywa normalizacji.

Konieczność inicjatywy.

W tym celu konieczne jest stworzenie terenów wzajemnego poznania i zrozumienia oraz — co najważniejsze — niezależnych naprawdę organów opinii, któreby tego programu były wyrazem. Uzdrowienia wymaga przede wszystkim warstwa oświecona: ona jest właściwą autorką teraźniejszego rozłamu w narodzie i ona tylko, wśród siebie również, może być zdolna obecny stan rozbicia zakończyć. Tak ujęty plan pracy około normalizacji życia politycznego w Polsce nie nęci zapowiedzią nagłego, w jakiejś jednej szczęśliwej chwili mającego nastąpić przełomu w położeniu, musi natomiast liczyć się z trudnościami i świadomym przeciwdziałaniem po obu stronach dzisiejszego frontu walki wewnętrznej w polskim społeczeństwie. Niemniej, wykonywany konsekwentnie, — stale, choć niepoznacznie wpływać będzie na zmianę warunków politycznych w kraju, tak, że w niedługim stosunkowo czasie oznaki poprawy powinny już dla każdego stać się widoczne. Współdziałać będą: silny u nas, pomimo wszystko, instynkt jedności narodowej i wszystkie żywe w duszy polskiej tradycje wielkiej i starej politycznej kultury.

...niech zmilkną dziś waśnie wasze i chwalby i procesy i wasze instancje i sądy partyjne i sądy frakcji.

Przecież ile w nich jest słuszności i prawdy, tej prawdy i słuszności, jako że prawdą i słusznością jest, nikt w was nie zabije.

Miejcie te swoje prawdy i słuszności — jeno je miejcie dla siebie. A niech wam prawdy te w obecnej chwili w czasie obecnym nie przesłaniają w niczym PRAWDY wielkiej, ku której naród sam chce spojrzeć.

Naród w sobie stworzycie tą chwilą milczenia, tą chwilą przemilczenia chęci swarów partyjnych i waśni pognębieniem.

Nie chcemy słyszeć was, woła wam naród.

Znamy was — i nie chcemy słyszeć was — woła wam naród.

Nie mówcież tedy o sobie i nie wskazujcie palcem brata ze słowem potępienia i zniszczenia.

Ale nienawiści i potępienie i zniszczenia słowo kierujcie tam... kędy strach przed jednością waszą i rąk zespoleniem.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

(urywek z artykułu „ZGODA" — r. 1905)

KRONIKA ŚWIATA

TRAGICZNA HISZPANIA

Trwająca już cztery miesiące wojna domowa staje się co raz krwawsza i okrutniejsza. Walka o stolicę kraju jest z dnia na dzień zawziętsza, ataki i kontrataki obu stron przybrały charakter boju o każdy niemal dom, każdą uliczkę. Już dnia 8 b. m. wojska powstańcze wdarły się do wnętrza miasta, a komunikat ich, ogłoszony przez radiostację w Sewilli, oświadczał: „Madryt można uważać za zdobyty". Po dziesięciu dniach, po gwałtownej kontrofensywie wojsk rządowych i ponownym przejściu do natarcia przez gen. Franco, walki uliczne w dalszym ciągu toczą się, przy żywym współudziale lotnictwa.

Gen. Franco, wódz powstańców, zaprzecza wiadomości jakoby miał oświadczyć, że „bombardowanie Madrytu trwać będzie aż do poddania się miasta" i że burzona będzie „dzielnica za dzielnicą".

CASA CERVANTES ESCORIAL...

Jerôme et Jean Tharaud, zwiedziwszy Toledo, już zdobyte przez wojska powstańcze, tak notują swoje wrażenia: „Gdy znalazłem się na placu Locodover, zestawiłem szybko w myśli to, co miałem przed oczyma, i moje wspomnienia z lat dawnych. Gdzież są dzisiaj: wodotrysk, arkady, rozkoszne kawiarnie?... Co się stało z Bramą Krwi Chrystusowej i jej tarczą z Pięciu Ranami? A dom Cervantesa? Miałem przed sobą tylko stos zwalonych kamieni, spośród których wznosiły się sczerniałe mury"...

Ostatnie telegramy donoszą, że „szkody wyrządzone przez „czerwonych" w zamku-klasztorze Escorial, są nie do naprawienia: cenne dzieła sztuki poginęły, biblioteka jest całkowicie zniszczona".

Dnia 13 b. m. przedstawiciele dyplomatyczni Anglii, Brazylii i Meksyku, znajdujący się w Madrycie, zwrócili się do obu stron walczących z prośbą, ażeby „oszczędzali pomniki historyczne Madrytu i poddawali ostrzeliwaniu jedynie punkty o znaczeniu strategicznym". Jest coś głęboko przygnębiającego w myśli, że los przez wieki przekazanych skarbów kultury hiszpańskiej musi w tej chwili szukać zabezpieczenia w protekcji szanujących je cudzoziemców.

I doprawdy, częściową tu tylko może być pociechą, gdy dowódca riffenów marokańskich, Si Mohammed el Miriam, oświadcza dziennikarzowi francuskiemu po oswobodzeniu Alkazaru: „Jeśliby wojska gen. Franco nie były zwycięskie, byłby to koniec cywilizacji zachodnio - europejskiej!".

MIN. BECK W LONDYNIE

Właśnie gdy w Polsce kończono przygotowania do uroczystego obchodu dnia 11 listopada, w Anglii skończyła się żałoba dworska po śmierci króla Jerzego V. Wskutek tego, zamiast oglądać rewię z trybuny przy placu na Rozdrożu, min. Beck zdążył wczas do Londynu, aby być pierwszym z gości zagranicznych, oficjalnie podejmowanych przez rząd i dwór angielski, w dziesięć miesięcy po wstąpieniu na tron nowego króla.



EFEKT PROPAGANDY WIZYTY

Dzienniki angielskie, rozchodzące się w największej ilości egzemplarzy, takie, jak Daily Mail, Daily Express, Daily Herald, nie poświęciły wzmianek tej wizycie. Na bankiecie u burmistrza Londynu, ministrowie Baldwin i Eden zwrócili do polskiego gościa uprzejme słowa, atoli gwałtowne boleści żołądkowe MacDonalda, który niespodziewanie zasłabł, wyłącznie zwróciły uwagę popularnej prasy. Jeśli chodzi o momenty osobiste, to „chór głosów dziennikarskich" zredukował się właściwie do duetu dwóch głosów kobiecych na jeden i ten sam temat: koloru papierosów p. Beckowej. Poważna prasa polityczna natomiast powitała min. Becka kurtuazyjnie jako przedstawiciela Polski. „Daily Telegraph" zamieścił ponadto artykuł przedstawiciela PAT'a w Londynie, p. Stefana Litauera, który zbyt pochopnie skomentowano w naszej prasie, jako „Siedem" też polskiej polityki zagranicznej, niejako oficjalnych objawień wydobytych z głębin przepastnej dyplomatycznej tajemnicy. Lecz odkądże to przedstawiciele Polskiej Agencji Telegraficznej mogą być uważani za jawnych porte-parole naszej tajnej dyplomacji? Gdy p. Stefan Litauer odzywa się po angielsku na łamach Daily Telegraph, oświadczenia jego nie mają wagi większej, niż polskie artykuły p. Floriana Sokołowa w Gazecie Polskiej.

EFEKT POLITYCZNY

„Sukces tezy polskiej w sprawie Lokarna". „Uznany został związek pomiędzy bezpieczeństwem nad Renem i nad Wisłą, na który zamknięto oczy w r. 1925, co było największym błędem starego Lokarna". Tak doniósł swoim czytelnikom już w dniu 12 listopada wyżej wymieniony po polsku piszący korespondent. W prasie angielskiej jednak nie znajdujemy niestety ani jednego głosu potwierdzającego tę pomysłową wiadomość. Znajdujemy natomiast głosy odmiennie rzecz przedstawiające. „Oczywiście, że o żadnym angażowaniu się Anglii w sprawy Europy wschodniej nie ma mowy" — oświadczył wyraźnie z okazji wizyty ministra Becka przyjazny nam dziś Manchester Guardian, powtarzając zresztą to, co od szeregu lat przy różnych okazjach, w parlamencie i poza parlamentem, stwierdzają wszyscy odpowiedzialni politycy angielscy. „Należy znaleźć drogę do uwzględnienia słusznych interesów Polski w tej sprawie" — oświadczył ogólnikowo komunikat urzędowy, mówiąc o „proponowanym pakcie zachodnim". W jakim stopniu atoli Anglia zamierza uwzględnić nasze „słuszne interesy" w pakcie gwarancyjnym, posuwając się dalej niż dotychczas w tym kierunku, lecz nie dając nam gwarancji co do naszych gnanic, tego narazie żaden bardziej szczegółowy komentarz nie wyjaśnił.

CO BĘDZIE Z PAKTEM ZACHODNIM

W ogóle zawcześnie jest mówić o „pakcie zachodnim" jako o czymś co będzie, i ku czemu polityka państw zachodnich już zmierza pewnymi krokami. Wypowiadając traktat lokarneński w dn. 7 marca b. r., kanclerz Hitler zaofiarował Francji, Belgii i ewentualnie także Holandii zawarcie paktu nieagresji na lat dwadzieścia pięć. W toku rozmów, które się następnie wywiązały, wymienił także Czechosłowację i Austrię, jako możliwe uczestniczki paktu. Jak dotąd jednak, nie wyjaśniło się wcale, czy w ogóle bliżsi dziś jesteśmy zawarcia takiego paktu, niż w dn. 7-ym marca b. r. Co się zaś tyczy nowego „Lokarna", t. j. gwarancji Anglii i Włoch dla granic francusko - niemiecko - belgijskich, to żadne kroki w tym kierunku przez dyplomację zainteresowanych państw jawnie postawione nie zostały. — Natomiast głośne oświadczenia króla Leopolda o neutralności belgijskiej dowodziłoby, że próby doprowadzenia do zawarcia podobnego układu wprawdzie są czynione, lecz że Belgia w nowym „Lokarnie" uczestniczyć nie ma ochoty.

SPRAWA SALENGRO

W krajach o silnie zaakcentowanej jedności narodu, gdzie zmiany rządów i partyj rządzących w minimalnym stopniu zmieniają kierunek polityki państwowej, zaostrzenie się charakter walk osobistych. Stosunki antagonizmów partyjnych z natury rzeczy przybiera przede wszystkim francuskie dostarczają pod tym względem coraz nowych, znamiennych przykałdów.

Od dłuższego czasu obóz prawicowy — w szczególności tygodnik „Gringoire" — atakował ministra spraw wewnętrznych socjalistę, Rogera Salengro, zarzucając mu podejrzane zachowanie się w czasie mobilizacji w roku 1914 (był antymilitarystą i pacyfistą), następnie zaś dezercję do okopów nieprzyjacielskich. Dyskusja w Izbie Deputowanych nad interpelacją w tej sprawie, zgłoszoną przez posła [illegible]equart'a (dnia 14 b. m.), dała ministrowi Salengro częściową satysfakcję, stwierdziła bowiem, że w czasie swej służby na froncie (przed owym, w tajemniczych okolicznościach, wzięciem go do niewoli niemieckiej), „był żołnierzem dzielnym i oddanym", następnie zaś jako jeniec w Niemczech dał dowody patriotyzmu i odwagi, odmawiając zgody na pracę w przemyśle wojennym (w giserni), za co go sąd niemiecki w Norymberdze skazał na dwa lata więzienia. Nie mniej nie wszystko zostało należycie wyjaśnione, stwierdzono brak w archiwach ważnych dokumentów i poważni przedstawiciele opinii publicznej, jak bohater wojenny, inwalida pos. Vellat, domagali się rozpatrzenia sprawy przez sąd honorowy, twierdząc, iż zwykłe „votum zaufania" Izby, uchwalone przez przyjaciół politycznych, nie jest w tym wypadku wystarczające.

Min. Salengro, z widocznym zdenerwowaniem odpowiadał na stawiane mu zarzuty, kończąc, iż jest: „socjalistą tak, ale też żołnierzem bez trwogi i przygany". W trzy dni później znaleziono go martwym w jego mieszkaniu w Lille. Popełnił samobójstwo.

A swoją drogą czyż nie przynosi to chluby Francji rycerskiej, że socjalista - antymilitarystą, tak do serca bierze oskarżenie o tchórzostwo, o nie sprostanie obowiązkowi patriotyzmu i honoru?...

UMIĘDZYNARODOWIONE RZEKI NIEMIECKIE

Całe dziesiątki artykułów traktatu wersalskiego poświęcone były sprawie umiędzynarodowienia niektórych rzek, płynących przez terytorium niemieckie, jak również kanału Kilońskiego. Były to artykuły 331 — 362, i 380 — 386. Traktat ustanawiał m. in. komisje międzynarodowe, do których należał zarząd żeglugi na Elbie, Odrze, Niemnie i Dunaju. W międzynarodowej komisji Odry zasiadał m. in. przedstawiciel Polski. — Obecnie cały ten system ograniczeń, niezgodny z pełną suwerennością terytorialną Niemiec, zniesiony został jednostronnym oświadczeniem rządu Rzeszy. Niewątpliwie wypowiedzenie odnośnych postanowień traktatu wypływało z podobnych pobudek, jak te którymi powodowała się Polska, wypowiadając jednostronnie w Genewie traktat o mniejszościach, we wrześniu 1934 r. Postanowienia umów, narzucone narodom nazbyt wyraźnie i niezgodne z ich poczuciem honoru, bardzo łatwo kończą swój żywot w inny sposób, niż to przewidują podręczniki prawa międzynarodowego.

ZJAZD W WIEDNIU

Starannie opracowany program zjazdu ministrów spraw zagranicznych Austrii, Węgier i Włoch w Wiedniu, pod jednym względem przypominał żywo pamiętny, wielki Kongres Wiedeński z r. 1815. Oto, podobnie jak na tamtym Kongresie, cały niemal pobyt uczestników zjazdu wypełniony był przyjęciami, wycieczkami, balami, przedstawieniami galowymi w Operze i t. d. Na właściwe narady polityczne i gospodarcze p. p. Guido Schmidt, Kanya i hr. Ciano posiadali już bardzo nie wiele czasu. Widoczne było, iż całe spotkanie miało charakter raczej manifestacji, nie zaś rzeczywistego ustalania nowych dróg w polityce Włoch i ich dwu sojuszników.

Wyniki zjazdu są też właściwie skromne: Austria i Węgry uznały de jure podbój Abisynii przez Włochy, uzyskując dla swoich kapitałów niejako udział w eksploatacji gospodarczej tego kraju. Wspólny komunikat, ogłoszony przez przedstawicieli trzech państw stwierdził, że „całkowita słuszność stanowiska rządów austriackiego i węgierskiego, jeżeli chodzi o równość praw w dziedzinie zbrojeń musi być uznana i że ta równość praw jest zgodna z podstawowymi zasadami sprawiedliwości". Coprawda Austria nie czekała tej zachęty i już poprzednio przystąpiła do wzmocnienia swej armii, co zaś do Węgier, to powstrzymuje je na tej drodze nie sprawa „zasad", lecz raczej obawa przed zbyt stanowczą reakcją państw Małej Ententy.

Zagadnienia powrotu Habsburgów zdaje się, nie poruszano, sprzeciwy zresztą byłyby tu bardzo silne, i to z dwóch różnych całkiem stron: Małej Ententy, popieranej przez Francję, i — Niemiec. A na śniadaniach, wycieczkach bywał stale, nie uczestnicząc formalnie w konferencji, ambasador Rzeszy Niemieckiej, b. kanclerz von Papen.



SŁUCHAĆ HADKO!!

Pośród odznaczonych w tym roku „laurem akademickim" za zasługi na polu piśmiennictwa, widnieją — między innemi — nazwiska: Józef Wittlin (złoty wawrzyn). Franciszka Arnsztajnowa (srebrny wawrzyn).

P. Wittlin głośny był przed kilku laty z powodu, że w przedmowie do przekładu „Odyssei", maksymę łacińską: „Navigare necesse est, vivere non est necesse", przetłumaczył na polski: Żeglować jest koniecznie, żyć nie jest koniecznie"...

P. Arnsztajnowa zdobyła sobie sławę wierszem o wieśniaczce, niosącej „naręcze jajeczek", o czem Adolf Nowaczyński trafnie zauważył, iż można nieść „naręcze maceс", ale jajeczek nie można, bo by się potłukły i „poplamiły pasiasty wełniak kumy Arnsztajn"...

...A równocześnie... Polska Akademia Literatury już od dwu lat, układając długie listy uwieńczonych „wawrzynem", nie może jakoś przypomnieć sobie nazwiska Zygmunta Wasilewskiego, głębokiego myśliciela, znakomitego krytyka, jednego z najświetniejszych dzisiaj mistrzów polskiej prozy... Instytucja stworzona przez p. Janusza Jędrzejewicza nie może sprzeniewierzyć się zasadom wojny domowej, nakazującej, jak wiadomo, tępić „endeków" — i to za wszelką cenę, chociażby kosztem... ośmieszenia się w oczach kulturalnej opinii literackiej...

*

W społeczeństwie polskim prawdziwą radość wzbudziło dekorowanie Uniwersytetu Jagielońskiego wielką wstęgą orderu „Polonia Restituta". Z przyjemnością stwierdza się, iż Wszechnica Krakowska ma dla narodu polskiego i jego kultury niemal takie zasługi dziejowe, jakie b. minister p. Floyar-Rajchman, który tymże orderem i tejże samej klasy — już poprzednio został odznaczony...

*

„Warszawski Dziennik Narodowy" (dn. 11. XI. r. b.) w „Dziale akademickim" zamieszcza na czołowem miejscu artykuł p. t. „Godna zazdrości Hiszpania". Jeden z prawicowych tygodników paryskich scharakteryzował ową szczęśliwość takim obrazkiem: Na ulicy Madrytu leży człowiek ciężko ranny, przed nim młody Hiszpan z dymiącym jeszcze rewolwerem w dłoni. „Czemu pan strzelił do mnie?" — woła ranny. — „Ja jestem Francuzem!"... „Ach, przepraszam, przepraszam najmocniej... — odpowiada Hiszpan zafrasowany — wziąłem pana za swego rodaka"...

*

Jeżeli, Brzeżany są, jak twierdzi p. Rubach w „Kinie" „polską Norymbergą" to czem zdaniem p. Rubacha jest Żułów?

Wanda M'łaszewska.

Miasto młodych ludzi

Gdy usłyszymy słowo: Gdynia — słyszymy nieodwołalnie długie szergi następnych: dźwigi, krany, łuszczarnia ryżu, chłodnia, dojrzewalnia owoców, znowu dźwigi, znów krany, wyładunek, przeładunek, bunkrowanie, s/s Warszawa, s/s Lublin, m/s Batory... Szumi morze, huczą motory, gwiżdżą syreny, mgła, sztorm, lekka morka, szkwały, deszcz, słońce, deszcz, deszcz, słońce i znowu deszcz. A po tym deszczu, jak grzyby — mnożą się nowe domy, przybywają do Gdyni nowi ludzie: po pracę, po złote runo, po — business...

Niedawno gmach pocztowy raził oczy ogromem. Dziś — jest za mały, nadbudowuje się w pośpiechu piętro, między deszczem a deszczem stukają młoty, trzeszczą rusztowania; spawanie, betonowanie, podstemplowywanie, — tempo, tempo, panowie!

Byłem w Gdyni osiem lat temu i sześć lat temu — i przed dwoma laty w rozsłonecznione Zielone Święta. I nie miałem nic do powiedzenia od siebie. Nie umiem włóczyć się ze zgrają zadyszanych reporterów, którzy „tempo" — rozumieją, jako galop utartym szlakiem, motorówką wzdłuż portu, samochodem wszerz miasta: łypnąć okiem w prawo i lewo, liznąć flondrę smażoną, niuchnąć prawdziwego, morskiego powietrza z kłębami dymu po którymś S/S... i potem „saliter do prasy". Nasza Gdynia, nasz port, nasza duma, nasze amerykańskie tempo!

Otóż, panowie! Żeby zobaczyć Gdynię, tę prawdziwą, codzienną, zadziwiającą — trzeba tu zamieszkać i tu pracować. Nie koniecznie w wędzarni ryb, w przedsiębiorstwie maklerskiem, w porcie przy „bunkrowaniu", albo w jakimkolwiek urzędzie przy pisaniu jakichkolwiek papierów.

Tak się złożyło, że przyjechałam do Gdyni — pisać. Duża, terminowa robota: powieść. Przyszło mi do głowy, że aby złapać tempo, właśnie należy udać się tam, gdzie „tempo" jest chlebem powszednim. I odrazu dnia następnego: czternaście godzin orki nad Remingtonem, sześć godzin snu, cztery — w rubryce „różne". Więc i obiadowa pogawędka z cudzoziemcami w przemiłym pensjonacie u stóp Kamiennej Góry i wypad krótki nad morze, i jakiś mały sprawunek, przejście przez dwie, trzy ulice. Nie biegnie się z pociągu, ani na pociąg. Wszystko się słyszy i widzi. Wszystko powoli, systematycznie dociera do świadomości i układa się tam w wiedzę o Gdyni, w sympatię dla Gdynian, w głębokie przywiązanie do tego najmłodszego w Europie miasta.

Przed dwoma miesiącami, w połowie września — Gdynia tonęła w słońcu. Dzień w dzień, — na codzień — było tego słońca wbród, dla wszystkich. A przedewszystkim dla dzieci. Gdynia jest miastem młodych ludzi, a statystyki podobno wykazują, że posiada najwyższy procent naszego największego bogactwa.

Otóż — można było to bogactwo nasze stwierdzić w godzinach południowych, przeszedłszy się poprostu wzdłuż wybrzeża. Jak okiem sięgnąć, na biało lakierowanych ławkach mamusie, służące i różnokolorowe „nurse'y". Sztandaryzowane Angielki i pełnokrwiste Niemki i rodzime Kaszubki i zabłąkane Mańki ze Lwowa i zabłąkane Mańki z Warszawy. Na biało, na czarno-biało, na niebiesko. A przed ławkami — wózki, pełne niemowląt, bo gdzieniegdzie po dwoje. A pomiędzy wózkami różnobarwny tłum krasnoludków, rozświergotanych, pucułowatych, długonogich, zdrowych i opalonych „morką", ciągnącą tu od morza.

To już przeważnie autochtoni gdyńscy, obywatele na miejscu urodzeni, wykąpani, zważeni, wykarmieni i wywiezieni na przechadzkę.

Mówił mi ktoś z przyjaciół, że w olbrzymich blokach dawnego Z. U. P. U. przy Świętym Janie, (w domach budowanych dla robotników, a zamieszkałych przez ciasno stłoczoną inteligencję), była do niedawna jedna akuszerka. Teraz jest ich cztery. W jednym — coprawda olbrzymim zbiorniku dwu i trzypokojowych mieszkanek — cztery akuszerki! I wszystkie mają robotę.

Tak. Bo Gdynia jest miastem młodych ludzi. Bo tu z całej Polski, z całej, dosłownie, Polski, zjeżdża wszystko co młode, wszystko, co pragnie wywalczyć sobie byt i wierzy, że go sobie wywalczy. Ludzi, którzy zrezygnowali niema w Gdyni, bo nie mieli by po co przyjeżdżać. Tu, gdzie istotnie wyścig pracy nie jest kolorowym afiszem, szmatką prasową, tubą do wykrzykiwania pustych haseł, — ale krwawą, ale ciężką, ale owocną orką — niema miejsca na ludzi starych duchem. Niema nawet miejsca na schorzałe wątroby, na niedomagające nerki, na sklerozę. Tu, gdzie praca trwa dosłownie cały dzień, gdzie się biegnie rano kłusem do biura, z biura kłusem na obiad, z obiadu znów truchcikiem do biura, a potem — gdzie się da. Tu ludzie nie pytają, coby zrobić z „resztą wieczoru", bo ona nie istnieje. Jest week-end. Jeden week-end na tydzień i musi zmieścić wszystko: odpoczynek, zabawę, odczyt, brydża, znajomych — no i morze. Dla niektórych jeszcze jest morze, to, na które się patrzy z wysoka, z Kamiennej Góry lub z Oksywia — i to, które biegnie łagodnymi, lub gniewnymi falami prawie pod nasze stopy, gdy w księżycowy wieczór, albo w sobotnie popołudnie idziemy naprawdę — odetchnąć.

Tak. Gdynia jest istotnie miastem młodych ludzi. Miastem prawdziwie młodych ludzi. I to od pierwszej chwili uderza, to bije w oczy, to napełnia ufnością, że „tempo" nie jest bluff'em, bo tylko młode mięśnie, młode mózgi, młoda krew potrafią wytrzymać tak olbrzymie ciśnienie pracy.

Chciałabym naszych panów z kawiarni ściągnąć tutaj, choćby przemocą —i pokazać im gdyńską kawiarnię. Bo i tu kawiarnie są pełne — w ściśle określonych godzinach. Bo i tu się pija małe i większe „czarne", załatwia się „business", przegląda się gazety. Ale tempo, tempo, panowie!

W innych znowu godzinach—stoliki puste, niema bezrobotnych krytyków polityki światowej, polityki państwowej, polityki stołecznego zaścianka. Ulice — też bywają puste. Jakby kto gigantyczną miotłą wymiótł rozległy plac Kościuszki, Świętojańską, Dziesiątego Lutego... Co robi w tych godzinach „wymarła" Gdynia? Albo parcuje, albo — odpoczywa po pracy. Świecą się wtedy wszystkie okna w dalekich, już dalekich od śródmieścia domach mieszkalnych. Światła Gdyni — te charakterystyczne, duże, uszeregowane kwadraty świateł nowoczesnego miasta — mają także swoją wymowę. Bardzo dużo uczą —o Gdyni. Nietylko o połowie szprotek, o kiepskich, albo dobrych interesach „pomarańczowych", nietylko o „tonażu i .przeładunku". Tu się można wiele dowiedzieć o człowieku i jego sile.

Przez pełne dwa miesiące — bez wytchnienia — dzień w dzień, pracowałam, jak prawdziwy Gdynianin. Może dłużej — bo zarywając nocy. Remington nie pilnuje się godzin biurowych, nawet — gdyńskich. Może stukać i w deszcz, gdy murarze przeczekują w barakach, klnąc uszczuplone zarobki. Można stukać i w zawieruchę sztormową, gdy na gmachu P.I.M'a wisi kula, znak ostrzegawczy dla rybaków, by nie wyjeżdżali na połów. Można pisać i w księżycowe noce, i w słoneczne popołudnia, które w Gdyni są wyjątkowo, swojście kolorowe.

Ale posuwając naprzód, w pocie czoła, swoją własną robotę, tak gatunkowo odmienną, tak „kameralną", jak pisanie fantastycznej „legendy" tu właśnie, gdzie wszystko jest szorstkie, twarde, betonowe i użytkowe — ma się uczucie dumy i radosnego zespolenia z całym tutejszym społeczeństwem, które pracuje w pocie czoła, posuwa naprzód pracę i tworzy. Tworzy — Gdynię.

Tu, gdzie szum fal zrzadka tylko dobiega uszu, tu, gdzie o obecności morza przypomina mi częściej żałosne wycie syren we mgle, niż własny wzrok, utkwiony w rękopisie, — tu, gdzie nawet łoskot portowy zanika, a światła Gdyni skrywa spad góry przed oknami, — tu właśnie, w tej samotnej norce, człowiek pracujący czuje mocno napięty, równy puls w skroniach i w sercu. Wie, że jest ono jednym ze stu tysięcy serc, bijących w Gdyni równocześnie.

Za te myśli, za te uczucia, jakie budzi, można pokochać Gdynię. Za to trzeba ją kochać.

I jeszcze jedna, błaha napozór, sprawa, która tutaj urasta do wielkości symbolu. Oto w samym środku miasta, u stóp Kamiennej Góry, w miejscu, o które businessmeni urządziliby wyścig w monecie brzęczącej, czy szeleszczącej — leży wielki płat kiepskiej ziemi, obsianej karłowatym łubinem. Rozmawiałam o tem z paroma ludźmi. Pierwszy z nich, człowiek „tempa" czło- i mocną, powiedział mi nieledwie z tych, którzy tworzą Gdynię młodą i mocną, powiedział mi nieledwie z oburzeniem: Właścicielką jest Kaszubka, bardzo stara kobieta. Ten plac idzie na wagę złota, ale do niej należy prawo: uparła się, że póki ona żyje, ani jeden metr kwadratowy nie pójdzie w obce ręce. Proponowano jej zawrotne sumy. Nadaremnie. Oświadczyła, że „tak będzie, jak było, póki ona oczu nie zamknie".

Drugim moim „rozmówcą" był znakomity literat, Adam Grzymała Siedlecki. Pokazałem mu łubinowe pole, na którem w przyszłym roku wzejdą kiepskie kartofle — i opowiedziałam zasłyszaną historię nieużytku, opierającego się bardzo najazdowi betonowych kamienic. Nie zapomnę wspaniałego wyrazu jego oczu, gdy rzekł do mnie:

— To piękne. Ona pamięta, że tu zawsze były kartofle i naprzekór całemu światu możnych twierdzi, że tu będą rosły kartofle póki ona oczu nie zamknie.

Tak. To jest bardzo piękny symbol. Właśnie w Gdyni twórczej i zaborczej — ów nieużytek ma swoistą wymowę. Przypomina plastycznie, że nie wszystko jest do zdobycia siłą, lub za pieniądze.

Stara Kaszubka jest koniecznym, powiedziałabym mistycznym składnikiem narodu, który z tym samym jak ona uporem twierdził przez wieki: tu jest Polska.

Sekcja warszawska

1 – 22. XI. 1918 r.

Już 18 lat minęło od słynnych walk listopadowych we Lwowie. Niemowlątka z tego okresu masowo już za mąż wychodzą lub przymierzają wojskowe mundury...

Wódz powstania zbrojnego przeciw Ukraińcom we Lwowie — Czesław Mączyński odszedł w zaświaty. Komendę nad uczestnikami walk obejmuje coraz energiczniej dzielny mjr. Wacław Lipiński. Nie ma co: niepostrzeżenie oddajemy się w ręce historyków...

Przechodzić do historii pojedyńczo, z imieniem i nazwiskiem — to może i przyjemne, ale hurtownie, masowo, bezimiennie — do tego się chyba ludziom nie śpieszy? Nie chcę nikogo kokietować, ale 18 lat— to przecież nie tak wiele. Jeszcze się jako tako trzymany! I napewno czujemy się niezgorzej? Myślę, że rola jakiegoś wiarusa napoleońskiego nie wydawałaby się dla nas niemożliwa? I może wdzięczniejsza narazie od roli hostorycznej figurki?

A jednak na nic te ambicje, panowie! Ludzie, którzy nie potrafią się zejść, aby popić w przyzwoitą rocznicę, nadają się już tylko do historii! Doprawdy, wstyd mi to wyznać publicznie, ale pamiętam. jakeśmy zapewniali, że Lwów jest dla nas jeśli nie pierwszym, to chociaż drugim rodzinnym miastem. No i że my, Lwowiacy in partibus infidelium, zawsze ramię w ramię, do wspólnego stołu, do wspominków, gawęd, do szklanicy a może i do poważniejszych poruczeń...

Nie było tak? Nie było?!

Pamiętam, jakeśmy wracali ze Lwowa do Warszawy. Nie wszyscy. W szpitalu na Politechnice Lwowskiej został Jan Rembieliński z potrzaskanym ramieniem, nie wyjechał też z nami Władysław Daab, postrzelony w piętę Achillesa, dwukrotnie trafiony Feliks Majorowicz (obecnie adwokat warszawski) no i gorączkujący Jerzy Makowiecki.

Przewodzi. nam w podróży ś. p. Wacław Denhoff - Czarnocki. Na dworcu w Warszawie kazał pójść spać do domu, a nazajutrz rano zebrać się u fotografa Fuksa.

Ano, zebraliśmy się w komplecie*).

Upozowaliśmy się przed obiektywem w hełmach szturmowych i z karabinami w ręku. Odziani byliśmy wprawdzie w mundury i płaszcze wojskowe, ale jakże różne kolorem i krojem! Nie raziło nas to: przecież na pierwsze placówki wyruszaliśmy w „cywilu". Wszyscy stanęliśmy w opaskach, jakie włożono nam we Lwowie: „Lwów I".

I pomyśleć: na miesiąc przed tą wspólną fotografią siedzieliśmy w Warszawie i nikomu z nas nawet się nie śniło o wojaczce. Akurat radziliśmy wtedy o wielkim zjeździe studentów z całej Polski. Zjazd taki wyznaczono do Lwowa.

Mnie i Denhoffowi-Czarnockiemu Niemcy odmówili prawa opuszczenia granic swojej okupacji. Uważała nas policja niemiecka za politycznie podejrzanych.

Do Lwowa pojechało nas kilkunastu. Na granicy okupacji niemieckiej i austriackiej zaczęliśmy zastanawiać się z Denhoffem - Czarnockim, jak się przedrzeć przez posterunki graniczne. Trzeba trafu, że obaj byliśmy wtedy w podłej kondycji fizycznej. Obaj mieliśmy stan podgorączkowy. Denhoff, cieplej ubrany, postanowił przekradać się mimo deszczu przez granicę a ja zdecydowałem zmylić czujność Niemców przy rewizji paszportów.

Koledzy, zebrani za barierą po stronie austriackiej przyglądali się moim manewrom, powątpiewali bowiem o ich skuteczności, i obawiali się, że Niemcy mnie złapią i „przymkną". Czekałem na dogodną chwilę i wdałem się w rozmowę z dwoma niemieckimi wojskowymi. Gdy tłok zrobił się w przejściu na stronę austriacką, poprosiłem obu na piwo „za granicę".

Wojskowego, który zażądał odemnie paszportu, zbeształem za to, że chce to robić po raz trzeci a dwaj moi niemieccy kompani tak się na niego za to oburzyli, że biedak zaczął mnie przepraszać.

Lwów stanął przede mną otworem! Z radością ciągnąłem Niemców na piwo, gdy nagle jakiś oficer (czy podoficer) zawezwał ich z powrotem. Ulotniłem się czemprędzej, aby i mnie tam nie wezwano.

ALARMUJĄCE WIEŚCI

Wieczorem, 31 października byliśmy już we Lwowie. Bruki lepiły się od błota. Przejmujący chłód i wilgoć zniechęcały do wszelkich spacerów po mieście. Czułem się szczęśliwy, gdy usiadłem wreszcie przy herbatce w Domu Akademickim na Łozińskiego. Delegaci lwowskiej młodzieży gościli przyjezdnych.

Opiekowała się mną przy stole panna Jadwiga Osbergerówna, obecnie p. Gutkowska, dziennikarka warszawska. Nie było jednak wesoło na sali. Chodziły wieści, że nazajutrz ma być proklamowana w Małopolsce Wschodniej „ukraińska dzierżawa". We Lwowie władze austriackie skonsygnowały pułki ukraińskie, co dawało realne widoki proklamacji.

W Domu Akademickim panował żywy ruch. Na korytarzach odbywały się jakieś zbiórki. POW mobilizowała ludzi. Z miasta znoszono karabiny i wywożono je gdzieś.

W ciężkim nastroju kładliśmy się do łóżek, aby odpocząć po podróży...

Nad ranem zbudzono nas gwałtownie. Miasto było już w rękach Ukraińców.

Wyszliśmy na ulice. Gęste patrole wojskowe spotykało się na każdym kroku. Ruch panował ożywiony. Na ratuszu powiewał sztandar żółto - niebieski. Tego samego koloru kokardki poprzypinali sobie cywilni Ukraińcy i arogancko spoglądali na Polaków. Na domach rozklejono afisze, ogłaszające republikę ukraińską w Małopolsce Wschodniej.

Od czasu do czasu w mieście słychać było strzały. Pod pomnikiem Mickiewicza zabłąkana kula raniła koło nas jakiegoś chłopca.

Co robić?

Porozumieliśmy się młodzieżą lwowską. Grupa Peowiaków, Legionistów i Dowborczyków chciały walki. Powstanie przeciwko okupacji ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej było na ustach wszystkich.

Niezwłocznie postanowiliśmy odbyć zebranie zjazdu młodzieży akademickiej. Przez usta delegatów zjazdowych mieli możność rzucić głos na szalę wypadków przedstawiciele młodzieży z całej Polski.

Obradowaliśmy burzliwie. Hasło natychmiastowego powstania zbrojnego przeciwko Ukraińcom zaskoczyło niektóre odłamy młodzieży. Socjalista Bruner kategorycznie wypowiedział się przeciw walce orężnej, co wywołało burzę wśród nacjonalistów. Gorąca atmosfera powoli jednak ochłodła. Zjazd zgodził się wydać odezwę, wzywającą młodzież do broni.

Wacław Bruner poszedł razem z nami.

Zjazd nie miał już nic do roboty. Delegowano jeszcze czterech ludzi, aby porozumieli się w sprawie dowództwa. Poszedł Wacław Lipiński (obecnie oficer, historyk), delegat Krakowa, a z Warszawy: Wacław Denhoff - Czarnocki, Wacław Bruner i ja. Zaszliśmy do ś. p. kpt. Rożena (później generała) na ul. Akademicką. Rozmowa nie dała rezultatu. Wobec tego porozumieliśmy się z kpt. Mączyńskim. Okazało się, że objął on już dowództwo. W okolicach kościoła św. Elżbiety, leżącego niedaleko Dworca Głównego zaczęły się już pierwsze walki. Legionista Tatar - Trześniowski zaimprowizował fortecę w murach szkoły Sienkiewicza i dawał się we znaki Ukraińcom. Myśmy dostali rozkaz, aby natychmiast wzmocnić załogę Domu Techników**) na Issakowicza, bo powstaje w nim nowy punkt oporu.

Nie było to rzeczą łatwą. Pierwsze polskie punkty oporu stworzyły dokoła siebie front wojsk ukraińskich. Roiła się w tej części miasta od posterunków i oddziałów hajdamackich. Dla lwowiaków przekradać się na Issakowicza — może i nie było filozofią, bo znali oni dobrze zakamarki w swoim mieście. Dla delegatów z innych miast uniwersyteckich — sytuacja przedstawiała się inaczej.

Był wieczór dżdżysty, błotny i taki listopadowy, w który psa nawet trudno wygnać z domu. Nie znałem Lwowa i nie miałem zamiaru przekradać się na Issakowicza, oświadczyłem też, że pójdę najprostszą drogą a posterunkom ukraińskim wytłumaczę, że nie powinny mi przeszkadzać.

Pomysł wydał się wszystkim fantastyczny, ale nikt jakoś nie wysunął lepszego. Gdy jedna z delegatek zjazdowych, studentka weterynarii, p. Helena Bujwidówna (obecnie p. Jurgielewiczowa, małżonka wicewojewody warszawskiego) ***) orzekła, że jest to projekt zupełnie realny, stropiłem się, bo naraz wszyscy niemal nie lwowiacy chcieli wybrać się ze mną, a nie myślałem, że Ukraińcy będą tak naiwni, aby przepuszczać przez swoje placówki liczną grupę Polaków.

A jednak przepuścili. Zawdzięczaliśmy to prawdopodobnie obecności p. Jurgielewiczowej, której nie posądzali widać o zamiary wojenne. Przywdziałem na głowę jej kapelusz, ona zaś moją czapeczkę korporacyjną, podałem jej ramię i tak holowaliśmy grupkę bractwa zjazdowego. Pośpiewywałem po drodze, aby podkreślić niefrasobliwy nastrój towarzystwa.

NA ISSAKOWICZA

Na ul. Potockiego spotkało nas gorączkowe „halt, halt!". Dobrnęliśmy więc do Ukraińców. Przedstawiłem się im jako solenizant (było to 2 listopada, Dzień Zaduszny!) i prosiłem, aby odprowadzili nas do domu. Z prawdziwym przerażeniem stwierdziłem, że prośbę wzięli zupełnie serio. Nie posądzałem ich, że zejdą z posterunku. Zrobiło mi się głupio, bo ten wspólny spacer mógł nam popsuć szyki. Na szczęście jednak niedaleko uszli. Gdy przed nami rozległy się jakieś strzały karabinowe, zatrzymali się nagle, poprosili o papierosy i puścili wolno, życząc wesołej zabawy.

Dom Techników, niewielki budynek na ul. Issakowicza, zatłoczony był ludźmi. W oknach widać było poukładane worki z piaskiem. Przed jakimś młodzieńcem w mundurze Dowborczyka stała na sali liczna grupa i słuchała wykładu, jak należy strzelać z okien. Pod ścianami stały karabiny, stare, jednostrzałowe, systemu Werndla.

Nasza grupa zjazdowa postanowiła trzymać się razem. Dowództwo nad nami objął porucznik Dzieduszycki, blondyn, niewielkiego wzrostu, w czarnym palcie i meloniku, z żółtą laseczką w ręce. Oświadczył nam, że jeszcze tej samej nocy rozstawi nas na placówkach. Rozdano nam karabiny, polecono rozgrzać się i odpocząć.

Pieściliśmy się z bronią i wysłuchiwali z napięciem uwag starych praktyków wojennych, których śród naszych nowych towarzyszów nie brakowało. Było o czym pogadać!

Wreszcie wyszliśmy na placówki. Dom Techników stał na krańcach miasta. Za nim rozciągała się dzielnica willowa i parkowa. Por. Dzieduszycki fukał na nas po drodze, opowiadał sprośne kawały, a przy każdej okazji klął, używając słów tak ohydnych, że straciłem do niego wszelką sympatię. Nie wiedziałem wtedy, że z czasem i ja dojdę do nie mniejszej „doskonałości"...

Poszliśmy na teren pagórkowaty i zadrzewiony, t. zw. corso. Przed rozstawieniem posterunków staliśmy jakiś czas na wzgórzu. Opanował nas nastrój uroczysty. Uchwaliliśmy nazwać pagórek „Wzgórzem Konsolidacji", jako że na nim dokonało się zjednoczenie wszystkich kierunków polskiej myśli politycznej wśród młodzieży.

Rozprowadzono nas na wszystkie strony.

Kazano stać na wyznaczonych miejscach i uważać, czy nie zbliża się nieprzyjaciel. Krople deszczu padały powoli z drzew na zeschnięte liście, wywołując nieustanny, jednostajny szmer. Ciemno było, choć oko wykol. Początkowa emocja minęła. Cisza zaczęła powoli człowieka irytować. Cisza i zła pogoda.

Zmąciłem tę ciszę. Czułem jak wzmaga sie we mnie gorączka. Krew waliła przez żyły z wielką szybkością. Zląkłem się panującej podówczas „hiszpanki". Stałem na jakimś niesłychanie ważnym punkcie, na który por. Dzieduszycki wyznaczył nie jednego, a trzech ludzi. Zwierzyłem się towarzyszom ze swego stanu. Poradzili mi napić się kieliszek koniaku. Wybrałem się do jakiejś willi. Poczciwi ludzie mieli koniak w domu, zapewniali mnie jednak, że przeciw hiszpance trzeba wypić pół butelki. Wypiłem. Urżnąłem się też, jak nieboskie stworzenie. Każdy szmer liścia zaczął mi się wydawać odgłosem kroków nieprzyjacielskich. Por. Dzieduszycki zbeształ mnie niemiłosiernie i kazał się przespać.

Dzień 3-ci listopada należał dla nas do najkrwawszych. Rano rozdzielono nasz oddział na kilka patrolów. Miały one nawiązać łączność z nieprzyjacielem. W moim patrolu, dowodzonym przez Mariana Westwalewicza, syna znanego chemika i eksperta sądowego ze Lwowa, zginął od strzałów „siczowych strzelców" ś. p. Włodarski, student lwowski, pochodzący z Warszawy, bardzo dzielny żołnierz, ja zaś oberwałem po palcach. W drugim patrolu dostał postrzał w klatkę piersiową Zdzisław Marynowski i ledwo zdołał ujść przed pościgiem, schroniwszy się do t. zw. wieży wodnej na Placu Powystawowym. Władysława Daaba postrzelono nad piętą i z trudem udało go się odprowadzić z pola dzięki zimnej krwi członków patrolu, którzy wykorzystali po drodze każde drzewo i wyłom muru, aby się ostrzeliwać nacierającym Ukraińcom zanim zapędów ich nie powstrzymały skuteczniej nasze placówki. Dzień ten był bardzo gorący. Parokrotnie byliśmy w ogniu. Zakończono go wielkim sukcesem: zdobyciem Dworca Głównego, gdzie były ogromne zapasy broni, amunicji i żywności. Małe chłopaki, którzy używani byli jako woźnice (zwozili z dworca zdobycz na poszczególne części frontu lwowskiego) paradowali po błocie w nowiutkich, acz przydużych lakierkach i byli niemiłosiernie uperfumowani...

Gdyby nie wczesne zdobycie dworca, niewiadomo, jak potoczyłyby się walki o Lwów...

POD ZIEMIĄ

Pod broń, której było już poddostatkiem zgłaszało się moc ochotników. Jak się nie przedostawali do polskiej części Lwowa! Przed placówkami naszego oddziału podniosła się pewnego dnia... płyta chodnika. Byliśmy fatalnie niewyspani wskutek ciągłej służby i alarmów po nocach, to też troiło nam się nieraz w oczach. Ale płyta podniosła się najwyraźniej. Wyjrzała z niej jakaś głowa a później wydostał się na powierzchnię olbrzym, nieludzko zapaskudzony w kanałach. Tak przybył do nas dzielny Birkenmajer ze swoją grupą.

Szczęście sprzyjało nam we Lwowie, ale były też momenty niemiłe. Takie dał atak na Sejm w dniu 9 listopada.

Sekcję warszawską miał prowadzić por. Szayna. Na długo przed atakiem nie pozwolił nam nic jeść, aby naładowanie kiszek — jak objaśniał — nie stanowiło niebezpieczeństwa w razie postrzału w brzuch. Za to przed samym atakiem dano nam wina.

Fatalny był ten szturm na Sejm! Auto pancerne „Piłsudczyk", robione dniem i nocą, zawiodło. Karabiny maszynowe (strzelał z nich Westwalewicz) zacięły się. Samochód też stanął. Do leżących za to na ziemi walili Ukraińcy z Sejmu i pałacu Gołuchowskiego z kilku karabinów maszynowych. Nie można było głowy podnieć wśród tego gradu kul.

W ciemnościach rozległ się naraz przeraźliwy głos Jakubowskiego:

— Janek, co robisz?!!!

Obejrzeliśmy się. Oddalał się od nas wolnym krokiem Rembieliński, objaśniając:

— Idę na punkt opatrunkowy.

Wydawało się niepodobieństwem, aby uszedł cało. Na drugi dzień dopiero stwierdziliśmy, że mu się jednak udało.

Po nieudanym ataku na Sejm porozdzielano nas. Mnie Denhoff-Czarnocki kazał zorganizować lotny oddział, który tropić miał zdradzieckie strzały Ukraińców do naszych żołnierzy w polskiej części Lwowa. Nazywało się to służbą żandarmeryjną. Wykryliśmy w kilku domach ukryte placówki ukraińskie. Wszystkie przygotowały sobie odwrót po dachach, po dachach też trwała pogoń i walka. Szczególną wprawę w bieganiu po ławach kominiarskich wykazał Mościcki, kapral dragonów austriackich, syn P. Prezydenta Rzeczypospolitej. Brat jego, Michał. nie mógł mu dorównać.

Jak to się piło po nadejściu odsieczy płk. Karasiewicza - Tokarzewskiego! Jak Bruner wtedy ze stołu przemawiał przez godzinę, każde zdanie zaczynając od słów „socjalizm, proszę kolegów", a Spytek-Pstrokański, nieustannie nagabywany, jak zdobył sztandar ukraiński, odpowiadał niezmiennie swym głębokim basem:

— Po pierwsze to nie był sztandar, tylko to była „fana".

18 lat! A może to jest bardzo wiele?

W. Drozdowski.

*) Stanisław Arnold, obecnie profesor historii uniwersytetu warszawskiego; Wacław Bruner, urzędnik Min. Opieki Społ.; Mieczysław Jakubowski, działacz i b. poseł Stronnictwa Narodowego; Tadeusz Jankowski, dziennikarz; Tadeusz Katelbach, korespondent „Gazety Polskiej"; Krupski, podówczas Dublańczyk, który do nas się przyłączył we Lwowie; Stefan Lenartowicz, dyrektor Związku Polaków z Zagranicy, Zdzisław Marynowski z „Polskiego Radia", Stanisław Pstrokoński, oficer zawodowy w piechocie i Julian Skarzyński, ziemianin z Kutnowskiego.

**) Dom Techników — dom akademicki studentów Politechniki lwowskiej.

***) Najsławniejsza kobieta wśród obrońców Lwowa.

Podobno... napewno...

ZNAMIENNE POSUNIĘCIE

Nominacja prezesa Związku Izb iOrganizacyj Rolniczych p. Kajetana Morawskiego na wiceministra i ministra Skarbu daje pewien obraz ewolucji wewnętrznego układu w obecnym Rządzie. Dotychczas w składzie gabinetu można rozróżnić dwiegrupy. Pierwsza z nich wchodziła w skład Rządu premiera Kościałkowskiego, który był pierwszym Rządem powołanym wyłącznie przez pana Prezydenta już bez współudziału Marsz. Piłsudskiego.

Do grupy tej należą wicepremier Kwiatkowski, minister Świętosławski, Poniatowski i Kościałkowski. Druga grupa ministrów została powołana przy udziale Marszałka Rydza. Do niej należą premier gen. Składkowski, min. Grabowski, Kasprzycki, Ulrych, Roman. Specjalne stanowisko zajmuje min. Beck ze względu na charakter swego resortu.

Powyższy podział mający oczywiście charakter orientacyjny, wskazuje do pewnego stopnia jak układała się współpraca między poszczególnym,i członkami gabinetu. I tak, dotychczas p. Poniatowski uchodził za ministra najściślej współpracującego z wicepremierem Kwiat kowskim (stanowisko w sprawie waluty.) Jednak nominacja p. Morawskiego jest zapowiedzią rozluźnienia tej współpracy, gdyż nie jest dla nikogo tajemnicą, że Związek Izb, szczególnie w ostatnim okresie, był ze strony ministra Poniatowskiego i wyższych urzędników ministerstwa rolnictwa narażony na poważne ataki. Równocześnie Związek Izb od dwu lat jest systematycznie rozsadzany od wewnątrz przez grupę senatora Malskiego, Olewińskiego dyr. Piaskiewicza. Nominacja p. Morawskiego wskazywałaby więc również, iż wicepremier Kwiatkowski zamiast jak dotąd, rachować na poparcie ze strony „Związku Naprawy" będzie miał na obecnej sesji zapewnioną życzliwość Koła Rolników, które popiera Związek Izb.

Widzimy zatem, że nominacja p. Morawskiego wprowadza w pierwszej grupie członków gabinetu wewnętrzne zmiany, które prowadzą do dalszego osłabienia sytuacji w tej grupie ministra Poniatowskiego, —osłabienia tem poważniejszego, że jak wiadomo p. Kwiatkowski cieszy się specjalnym osobistym zaufaniem p. Prezydenta.

KULISY SEJMU PRZED SESJĄ

Odsunięty na bok, traktowany z góry i nie mający żadnego oparcia w społeczeństwie, parlament, sądząc z nastrojów, panujących wśród jego członków, postanowił „pokazać rządowi rogi". Najlepszym świadectwem tego był głośny zatarg z powodu niewłaściwej formy zaproszeń, wystosowanych przez wicepremiera do obu marszałków. Że reakcja na niezręczność szefa gabinetu, p. Martina, była słuszna, to prawda, ale że była tak stanowcza i gwałtowna, szczególnie ze strony marszałka Prystora, — dowodzi to, że obydwaj przewodniczący izb skorzystali z okazji, ażeby uderzyć pięścią w stół. Trzeba przytem zaznaczyć, że sytuacja prezydium izb, a szczególnie zaś obu marszałków — wobec zupełnej dezorganizacji wewnętrznej obecnego parlamentu — jest wyjątkowo mocna. Gdy Rząd chce przeprowadzić jakąkolwiek ustawę, n o l e n s v o l e n s musi zacząć rozmowę od marszałków i od prezydium Izb.

Prezydium Sejmu stanowiło początkowo grupę jednolitą, zasiadali w nim bowiem albo najbliżsi, albo bliscy współpracownicy płk. Sławka, przez niego zresztą desygnowani. A więc prócz marszałka Cara wicemarszałkowie Podoski, Schätzel (były szef gabinetu premiera Sławka), Miedziński, Byrka oraz reprezentant mniejszości poseł Mudry.

Posiadając tak poważny wpływ w prezydium Sejmu, płk. Sławek jest faktycznie jego l e a d e r e m. Jednak p. Sławek wyraźnie dotychczas unika odgrywania tej roli. Na posiedzeniach Sejmu bywa rzadko, albo też gdy bierze w nich udział, milczy jak sfinks. Narazie nic też nie wskazuje, ażeby pragnął wyjść z tej biernej roli, mimo nalegań przyjaciół, niecierpliwiących się coraz bardziej z powodu usuwania się gruntu z pod nóg dawnego przywódcy B. B., nawet w jego własnym parlamencie.

PIERWSZE ROŻDŹWIĘKI

Zaczęło się od góry, nie od dołu. Uderzenie w pozycję płk. Sławka nastąpiło najniespodziewaniej ze strony p. Miedzińskiego na głośnym zebraniu w B. G. K. p. Miedziński wypowiedział panu Sławkowi posłuszeństwo i z niezwykłą jak na niego energią. rzucił się gorączkowo do organizowania własnej grupy pod nazwą klubu b. uczestników walk niepodległościowych. Akcja p. Miedzińskiego skończyła się wprawdzie całkowitym niepowodzeniem, ale w jednolitym dotychczas prezydium Izby nastąpiły rozdźwięki. I chociaż p. Miedziński na nikogo nie może liczyć w gronie prezydium poza sobą samym, nie mniej jednak jest i będzie tym wicemarszałkiem, który, jak kiplingowski kot, chce chadzać własnymi drogami, sprawiając swym kolegom różne niespodzianki.

O NASTĘPCĘ P. BYRKI

Powołanie p. Byrki na prezesa Banku Polskiego wywołało ze strony marszałka Cara zrozumiałe obawy o jednolitość polityczną prezydium. Mając już jednego wicemarszałka zbuntowanego, woli p. Car nie mieć kłopotu z nowowybranym. Tymczasem sprawa nie przedstawia się tak prosto.

Grupa „Naprawy" postanowiła wyzyskać nadającą się sposobność do wprowadzenia swego przedstawiciela do prezydium. skąd została w swoim czasie wyłączona przez p. Sławka. Najpoważniejszym jej kandydatem jest dr. Surzyński. Możliwe jest jednak. iż „naprawiacze" będą zmuszeni pójść na kompromis. W tym wypadku wybór padłby prawdopoodbnie na generała Żeligowskiego, który niewiadomo jednak, czy go przyjmie, ponieważ obiegają pogłoski, iż dla zademonstrowania przeciwko obecnemu stosunkowi Rządu do parlamentu ma zamiar złożyć mandat.

„Naprawiacze" będą musieli stoczyć jednak ciężką walkę, gdyż niewątpliwie wysunięta zostanie kontrkandydatura, mogąca skupić większą ilość głosów z kilku grup, szczególnie Koła Rolników. Kandydat ten, o ile miałby poparcie prezydium Izby, niewątpliwie zwycięży.

PLANY PŁK. KOCA

Akt na Zamku musiał się odbić i na planach płk. Koca, które w ideowej i organizacyjnej strukturze opierały się na zasadzie „wodzostwa" i miały wcielić ją w życie. Na czele obozu, identyfikującego się właściwie z Państwem, miał stanąć wódz, którego prawe ramię miał stanowić kanclerz ,a lewe, komendant obozu". Przy takiej koncepcji oczywiście Rząd i aparat państwowy musiały by być całkowicie sharmonizowane z partią, gdyż inaczej współdziałanie tych dwu czynników w zorganizowaniu społeczeństwa byłoby nietylko utrudnione, ale wprost niemożliwe.

Czy Rząd gen. Składkowskiego mógłby w obecnym składzie współdziałać z płk. Kocem jako komendantem obozu, wydaje się rzeczą wątpliwą. Tem mniej wydaje się to prawdopodobnie jeżeli nadal gabinet zachowa ten sam dualistyczny „prezydentsko - marszałkowski" charakter. Dlatego akcja płk. Koca znajduje się na ślepym torze, czego najlepszym dowodem jest wstrzymanie wyborów do władz Związku Legionistów, co zapowiadano pierwotnie na listopad. Ażeby zejść z tego ślepego toru musiałby p. Koc albo porzucić przyjętą już koncepcję Obozu, albo też w kraju musiałyby nastąpić dalekosięgające zmiany polityczne, na które się jednak nie zanosi.

NIE PROJEKT ORDYNACJI WYBORCZEJ, ALE PRACE PRZYGOTOWAWCZE

W sferach politycznych zwrócił uwagę zamieszczony przez „Naród i Państwo" artykuł p. Grosglika Groniowskiego mogący uchodzić za zapowiedź złożenia przez Naprawę projektu nowej ordynacji. W związku z tym artykułem mówią w miarodajnych kołach „Naprawy", iż narazie „Związek działaczy społecznych miast i wsi" nie zgłosi projektu ordynacji w Sejmie, ale w wystąpieniach swych przedstawicieli w parlamencie zaznaczy iż zmiana ordynacji jest koniecznością i że Sejm powinien podjąć w tym kierunku prace przygotowawcze.

GILBERT KEITH CHESTERTON

STRASZLIWA KSIĄŻKA

Profesor Openshaw irytował się, tracił panowanie nad sobą, jeśli go kto nazwał spirytystą, albo zwolennikiem spirytyzmu. Ale tak samo irytował się, jeśli go kto pomówił o niechęć do spirytyzmu.

Chlubił się, że życie poświęcił na to, aby zbadać świat zjawisk ducha. Szczycił się również, że nigdy nie wyjawił, czy zjawiska te istotnie uważa za duchowe, czy też tylko za fizyczne. Lubił, znalazłszy się w kole wierzących spirytystów, znęcać się nad nimi, z zimnym okrucieństwem opowiadać, jak wiele już w różnych okolicznościach zdemaskował oszukańczych mediów. Bo gdy raz powziął podejrzenie, ujawniał niepospolity zaiste talent detektywa, a wszelkie media z reguły traktował podejrzliwie. Mówiono, że trzykrotnie zdemaskował jednego i tego samego oszusta: raz udającego kobietę, raz siwobrodego starca, raz ucharakteryzowanego na bramina o skórze ciemnej jak czekolada. Prawdziwych wyznawców opowiadania te dość niepokoiły, i o to właśnie chodziło profesorowi; ale musieli siedzieć cicho, boć żaden spirytysta nie powie, że wśród mediów nie bywa szarlatanów. Opowiadania profesora były jednak tak sugestywne, iż sam przez się nasuwał się wniosek, że wszystkie media uprawiają wyłącznie szarlatanerię.

Ale biada naiwnym, prostodusznym materialistom (taki to już po większej części gatunek człowieka), jeśli brali stąd asumpt do twierdzeń, że to wszystko tylko stare przesądy, tylko zawracanie głowy albo blaga. Najniespodziewaniej profesor rychtował działo krytyki naukowej przeciwko niebacznemu, porażał go przykładami niezaprzeczalnie stwierdzonych wypadków i niewytłumaczonych zjawisk, o których nieszczęsny racjonalista nigdy dotąd nie był słyszał. Cytował daty, szczegóły, wymieniał wszystkie próby objaśnienia rzeczy w sposób naturalny, wszystkie zarówno niezadowalające, nie pomijał nic, zbywał tylko milczeniem kwestię, czy on sam, John Oliver Openshaw, wierzy w duchy czy nie. Tego od profesora nigdy dowiedzieć się nie mogli ani spirytyści, ani materialiści.

Profesor, chudy blondyn z czupryną nader bujną, w spojrzeniu błękitnych oczu mający coś z hypnotyzera, rozmawiał właśnie z księdzem Brownem. Łączyła ich przyjazna zażyłość. Stali na schodach hotelu, gdzie przenocowali i gdzie rankiem zjedli śniadanie. Profesor wrócił dość późno po jednym z seansów doświadczalnych w dużym stylu, wrócił w rozdrażnieniu, czując jeszcze w sobie ogień walki, jaką sam jeden zawsze prowadził z przeciwnikami z dwóch stron.

— Ech, co ksiądz mówi, to mniejsza, ciągnął ze śmiechem. Bo choćby była prawda, i tak by ksiądz nie uwierzył. Mnie za to pytają wciąż wszyscy, czego usiłuję dowieść? Nie rozumieją, co to jest stanowisko naukowe. Tu wogóle nie chodzi o to, ażeby czegoś dowieść. Chodzi o to, żeby stwierdzić co jest.

— I jak dotąd, nic jeszcze się nie stwierdziło, odrzekł ksiądz Brown.

— Co do mnie, mam swoje ideje, może nie tak wyłącznie negatywne, jak przypuszczają, wyznał profesor, marszcząc się. — W każdym razie dochodzę do przekonania, że aby wykryć co jest, trzeba iść całkiem w innym kierunku, niż zwykle się idzie. Przecież seanse to teatr. Media zgrywają się niemiłosiernie, zawsze te same rekwizyty: ektoplazma, trąbki, głosy i t. d. Same zużyte efekty, pożyczone ze staroświeckich melodramatów, recepty z romansideł na temat duchów we dworze. Gdyby ci szarlatani zamiast się uczyć z powieści, postudiowali historię, możeby dopiero coś odkryli. Tylko nie zjawy.

— Nie, nie, podchwycił ksiądz Brown. Zjawy, to czcza parada. To do przyzwoitości należy, że duchy po dworach straszą.

Profesor roztargniony, jak przystało mężowi nauki, nagle ocknął się i nader bystro spojrzał na księżulka, niczem na podejrzane medium. W takich chwilach miało się wrażenie, że przykłada szkła powiększające do oczu. Poruszyła go ostatnia uwaga księdza, którego osóbka nie przypominała zresztą w niczem jakiegoś magika z seansów. Komentarz Browna nazbyt wiernie podążył za myślą profesora.

— No, no — burknął Openshaw — że też akurat ksiądz to o zjawach powiedział. Bo ja, im lepiej rozumiem się na rzeczy, tem wyraźniej widzę, że gdyby, zamiast silić się na taką czy siaką maskaradę, ci specjaliści zainteresowali się znikaniem...

— Tak, odpowiedział ksiądz Brown. Najautentyczniejsze podania o duchach stosunkowo mało mówią o ich zjawianiu się. Tytania, królowa elfów, Oberon, ukazujący się w świetle księżyca, to wyjątki. Któżby zliczył zato legendy o ludziach, co zniknęli porwani przez duchy. Czy może właśnie jest pan na tropie któregoś z takich bohaterów?

— Na tropie zwykłych śmiertelników, o których wzmiankują gazety, odparł profesor. — Dziwi się ksiądz? — Otóż badania moje idą w tym właśnie kierunku, i to już od dłuższego czasu. Zjawy mi nie imponują. Naprawdę dziwne są zniknięcia. I raczej w tych wypadkach mówić możnaby o działaniu jakichś sił nadprzyrodzonych. Tak często piszą pisma, że ta lub inna osoba zniknęła raz na zawsze — trzeba znać te szczegóły — ale ot, nie dalej, jak dziś rano otrzymałem jeden więcej dowód. List od starego misjonarza, widać jakiś bardzo porządny człowiek. Odwiedzi mnie dziś w biurze przed obiadem. Dobrze naprawdę się składa, zjedzmy dziś obiad wspólnie, to poufnie opowiem zaraz księdzu nowinki.

— Dziękuję, więc spotkamy się przy obiedzie, chyba do tego czasu elfy mnie nie porwą, uśmiechnął się ksiądz skromnie. Rozstali się, profesor skręcił za róg i poszedł prosto do biura. Lokal ten służył mu głównie jako redakcja pisemka, przeznaczonego dla specjalistów i oświetlającego zjawiska m[illegible]miczne w sposób n[illegible]rdziej suchy i naukowy. Wydawał je profesor przy pomocy jednego tylko pracownika, przygotowującego materiał statystyczny i sprawozdawczy do druku, wiecznie pochylonego nad biurkiem w pierwszym pokoju redakcyjnym. Profesor, wszedłszy, przystanął i spytał, czy pan Pringle był już w redakcji. Pisarczyk zaprzeczył jak automat i mechanicznie sumował dalej cyfry, profesor zaś wszedł do sąsiedniego pokoju, który mu służył za gabinet pracy.

— Panie Berridge, — dorzucił, nie odwracając głowy, — jak tylko przyjdzie pan Pringle, niech go pan poprosi zaraz do mnie. Sam pan niech roboty nie przerywa, chciałbym żeby dziś jeszcze pan wykończył te notatki. Niech je pan zostawi jutro na moim biurku, w razie gdybym miał przyjść późno. Powiedziawszy to, wszedł do swego gabinetu, rozważając w myśli problem, który nasunął się, i, co więcej, skrystalizował ostatecznie, w związku z imieniem Mr. Pringle'a. Nawet umysł najbardziej sceptyczny ma swoje słabości. Tak i w tym wypadku w liście misjonarza profesor dopatrywał się potwierdzenia swoich mgławicowo zresztą zarysowanych przypuszczeń. Usiadł na wygodnym i dużym fotelu naprzeciwko sztychu, przedstawiającego Montaigne'a, i raz jeszcze przeczytał list od misjonarza. Znał dobrze cechy grafologiczne pisma wariatów i osób zbzikowanych, jak również styl takich epistoł, nadmiar szczegółów w nich, rozwlekłość, ciągłe powtarzanie się autorów. Tu żadnej z tych cech nie było, przeciwnie, list krótko i rzeczowo informował, że zaszedł wypadek zniknięcia z kategorii tych, które wchodzą w zakres znanej specjalności profesora, jako badacza zjawisk mediumicznych. Ton listu usposobił adresata korzystnie, a wrażenie to nie pierzchło mimo lekkiego wstrząsu niespodzianki, kiedy podniósłszy wzrok, profesor ujrzał, że pan Łukasz Pringle jest już obecny w pokoju. — Pan sekretarz powiedział, że mogę wejść bez pukania, wyjaśnił pan Pringle, uśmiechając się zarazem przyjaźnie. Szeroki ten uśmiech po części ginął w srebrno-rudej gęstwie brody i faworytów, istnej dżungli włosów, jaką porastają czasem biali, długo przebywający w dżunglach. Za to oczy osadzone nad nosem, nieco podobnym do kartofla, nie miały w sobie nic zgoła egzotycznego ni dzikiego. Openshaw wziął je odrazu pod lupę swego najostrzej badawczego spojrzenia, którym tyle razy prześwietlał oszustów i maniaków, tym razem jednak odniósł wrażenie uspokajające. Broda zdawałaby się świadczyć, że gość ma hyzia, ale oczy przeczyły temu jak najbardziej stanowczo. Była w nich jasność rzetelnego, pełnego życzliwości śmiechu, który nigdy nie znamionuje twarzy prawdziwych oszustów i wariatów. Tak patrzyć mógł miłośnik życia, sceptyk na wesoło, wykpiwający zjawy i duchy, żaden natomiast zawodowy nabieracz nie mógłby wyglądać aż tak krotochwilnie. Gość ubrany był w zapiętą pod szyję pelerynę, którą widziała „lepsze czasy, i tylko charakterystyczny miękki kapelusz świadczył o zawodzie duchownym. Coprawda misjonarze powracając z dzikich krajów nie zawsze dbają o to, żeby z pozoru wyglądać na duchownych.

— Napewno myśli pan, że to jeszcze żaden kawał i bujda, nieprawdaż, panie profesorze — mówił gość ze szczerą wesołością. — Niechże pan daruje, że się trochę uśmiecham na widok pańskiej, jakże słusznie surowej miny. Przychodzę do pana z opowieścią niesłychaną, a prawdziwą. Właściwie żart tu nie na miejscu, bo historia to nie tylko prawdziwa, lecz i tragiczna. Pracowałem jako misjonarz w Nya - Nya, w Afryce zachodniej, w puszczy, gdzie nie było prawie nikogo więcej z białych oprócz dowódcy tego okręgu, kapitana Walesa. Zaprzyjaźniliśmy się. Nie znaczy to, żeby miał on jakieś szczególne zrozumienie dla pracy misyjnej. Nie, była to natura raczej gruba, jeden z tych ludzi czynu o łbie twardym i barach szerokich. Takim, samo myślenie nawet, a cóż dopiero wiara wydają się mało potrzebne. Tembardziej dziwne to, co mu się przytrafiło. Pewnego dnia wrócił do naszego namiotu w puszczy po krótkim urlopie, i wyznał, że zdarzyło mu się coś, co się w głowie nie mieści. Przyniósł ze sobą stary zniedziały tom oprawny w skórę. Położył go na stole, na którym leżał rewolwer i starodawny miecz arabski, przez kapitana ceniony jako antyk. Opowiedział, że książka należała do pasażera na statku, którym wracali. Pasażer przysięgał się, że książki nie można otwierać ani zaglądać do niej, bo to grozi zniknięciem, porwaniem przez diabła, czy czemś takim. Wales naturalnie nie wierzył, drwił, wynikła kłótnia, ostatecznie pasażer, chcąc dowieść swej odwagi, zajrzał wreszcie do książki, natychmiast położył ją, przeszedł przez pokład i —

zaraz, przerwał profesor notując to i owo w międzyczasie. — Zaraz, zanim powie mi pan cośkolwiek, to najpierw to: czy pasażer powiedział kapitanowi, skąd ma książkę i do kogo przed tem należała?

— Tak, odpowiedział Pringle z największą powagą. — Mówił, że odwozi ją doktorowi Hankeyowi, pierwotnemu jej właścicielowi, który ostrzegł go z góry o jej dziwnych własnościach. Hankey to człowiek bezsprzecznie zdolny, przy tem szyderca i mizantrop, co wszystko czyni sprawę jeszcze osobliwszą. Opowiadanie Walesa kończyło się zaś całkiem prosto. Oto pasażer, zajrzawszy do książki, przeszedł przez burtę i odtąd wszelki ślad po nim zaginął.

— I pan sam w to wierzy? — zagadnął Openshaw po chwili.

— Wierzę, odpowiedział Pringle. Wierzę dla dwóch powodów. Pierwszy, że Wales nie miał za grosz wyobraźni, a przytoczył szczegół, który mógł wymyślić tylko ktoś wyposażony w fantazję. Powiedział, że pasażer zniknął za burtą w dzień bezwietrzny i pogodny, ale nie usłyszano żadnego plusku. Przez parę sekund profesor studiował swoje notatki w milczeniu, potem zapytał:

— A drugi pański powód?

— Mój drugi powód, odparł wielebny Łukasz Pringle — to to, co sam widziałem.

Umilkł, poczem podjął opowiadanie tym samym rzeczowym tonem. Skwapliwości do przekonywania, cechującej indywidua niezrównoważone, z wszelką pewnością zarzucić mu nie było można.

— Powiedziałem, że Wales położył książkę na stole obok miecza. Z namiotu było tylko jedno wyjście. Ja właśnie stałem w tem przejściu, patrzyłem na las, tyłem odwrócony do mego towarzysza. On stał przy stole mrucząc pod nosem ze złością: że niby w XX-ym wieku nie wypada bać się otworzyć książki, że u licha, on sam powinien bez wahania odrazu zaryzykować. W owej chwili wiedziony jakimś instynktem powiedziałem, żeby nic nie robił, że książkę trzeba oddać doktorowi Hankeyowi. — A cóż mi się stać może? — pytał nerwowo. — A co się stało z tamtym pasażerem na statku? — obstawałem. Nie odpowiedział, bo i cóż mógł na to odpowiedzieć. Dalej prześladowałem go swoją logiką, chcąc dobić ostatecznie.

— Dobrze, a jak sam wytłumaczysz to zdarzenie na statku? — zapytałem, ale znów nie odpowiedział. Obejrzałem się: już go nie było.

— Namiot był pusty. Książka leżała na stole, otwarta, ale grzbietem do góry, jakby umyślnie ją tak przewrócił. Miecz zato leżał nazewnątrz namiotu, w płótnie zaś widniał wielki otwór, jakby w ścianę namiotu ciął ktoś mieczem. Otwór rozdziawiony ku mnie szeroko, ukazywał tylko ciemną ścianę puszczy. Gdy wyjrzałem, nie mogłem stwierdzić co się stało. Gęstwa wysokich ziół i chaszczy była w tym miejscu schylona tylko czy zgnieciona, ale i to zaledwie na przestrzeni kilku stóp. Odtąd wszelki ślad i słuch po kapitanie zaginął.

— Zapakowałem książkę w szary papier, opierając się wszelkim w stosunku do niej pokusom, i przywiozłem ją teraz do Anglii, zamierzając przede wszystkim zwrócić ją doktorowi Hankeyowi. Przypadkiem jednak w piśmie pańskim przeczytałem o hypotezach, mających wyjaśnić tego rodzaju wypadki... Postanowiłem więc przede wszystkim zwrócić się do pana jako i specjalisty i człowieka o głowie otwartej.

Profesor Openshaw odłożył pióro i przypatrzył się gościowi ze skupioną odwagą. W długiej swej karierze naukowej miał do czynienia z wielu rodzajami naciągaczy i nawet z niektórymi wielce osobliwymi rodzajami uczciwych dziwaków. Zwykle w podobnych wypadkach zaczynał od przyjęcia najracjonalniejszej hypotezy, że cała rzecz jest zełgana od A do Z. Ta sama hypoteza nasuwała mu się i teraz. Ale nie pasowała ona jednak jakoś do przybysza, Odczuwało się, że gdyby przybysz kłamał, toby wymyślił innego rodzaju kłamstwo. Nie usiłował sobie nadać pozorów prawdomówności, jak większość szarlatanów i oszustów.



Wrażenie odnosiło się całkiem inne: jakby właśnie mimo zewnętrznych pozorów miało się do czynienia z człowiekiem z gruntu uczciwym.

Może na tym jednym tylko punkcie zacny misjonarz miał krećka. To inaczejby się objawiło. Zdrowie duchowe przybysza przebijało w tonie pewnej obojętności, widać było, że jeśli ma krećka, to sam sobie nie wiele z niego robi.

— Proszę pana, a gdzie teraz jest ta książka? — spytał profesor tonem ostrym, jakby adwokat przepytujący świadka.

Szeroki uśmiech pojawił się znów na zarośniętem obliczu przybysza, tak poważnym w czasie opowiadania.

Zostawiłem ją w drugim pokoju — odparł. — Może to ryzykowne, ale z dwojga złego mniejsze.

— Jakto? Czemu pan nie przyniósł jej tutaj? — Zdumiał się Openshaw.

— Bo wiedziałem, że jeżeli tu przyniosę to zaraz ją pan zechce otworzyć. Co innego teraz, kiedy skończyłem, — teraz zdaje sobie sprawę w pełni z ryzyka, — ciągnął misjonarz, a po chwili jeszcze dodał: — Nikogo w tamtym pokoju nie było oprócz biuralisty, który bardzo się wydawał zajęty swoją robotą.

Openshaw zaśmiał się z ulgą.

— Berridge. No tak, żywy automat, człowiek najbardziej podobny do maszyny, jakiego w życiu widziałem, ostatni, któremu mogłoby się zachcieć otwierać cudze paczki. No dobrze, więc idziemy po tę książkę, a co z nią zaś zrobimy, to trzeba dobrze rozważyć. — Szczerze panu powiem — tu znów przenicował okiem przybysza — że doprawdy nie wiem, czy zaraz ją otworzyć, czy też odesłać Hankeyowi.

Weszli razem do pokoju skryby. Pierwszy Pringle rzucił się do biurka z okrzykiem. Sprzęt stał, ale nie było biuralisty. Na biurku leżała stara książka w oprawie skórzanej, wydobyta z paczki szarych papierów. Była zamknięta, ale wyglądała jakby zajrzał ktoś do niej przed sekundą. Biurko stało przy oknie, w szybie zaś widniał świeży wybity wielki otwór, jakby uderzyło w nią z impetem ludzkie ciało. Nie było żadnego innego śladu po Berridg'u.

Na widok ten obaj mężczyźni znieruchomieli jak posągi. Pierwszy profesor stopniowo odzyskał zdolność ruchu. Nigdy nie odezwał się z taką godnością uczonego, jak teraz kiedy wyciągnął rękę do misjonarza.

— Przepraszam pana ogromnie — wycelebrował. — Przepraszam, zresztą tylko za myśli i podejrzenia. Gdybym ignorował jeszcze i takie fakty, nie byłbym człowiekiem nauki.

— Przypuszczam, bąknął, że trzeba wszcząć dochodzenia. Przede wszystkim zadzwońmy i sprawdźmy czy nie wrócił do domu.

Nie wiem czy ma telefon, odparł Openshaw cokolwiek zakłopotany. Wiem, że mieszka gdzieś w okolicach Hampstead. Napewno ktoś z rodziny tu przyjdzie, jeżeli do domu nie powróci.

— Trzeba będzie dać policji rysopis, dodał misjonarz.

— Rysopis, tak, dla policji, wydukał Openshaw, przytomniejąc. — Cóż powiedzieć? Wyglądał no jak każdy, tyle, że miał okulary. Ot młodzik wygolony. Co do policji, to nie wiem... Zaraz, musimy się dobrze namyślić, jak postąpić.

— Ja wiem dobrze, co zrobię, oświadczył misjonarz. — Jadę zaraz z tą książką do Hankeya, niechże się dowiem czegoś od jej pierwotnego właściciela. Mieszka niedaleko, niech pan poczeka, ja niedługo będę z powrotem.

— Dobrze, wyrzekł wreszcie profesor osuwając się na fotel, jak ktoś nerwowo wyczerpany. Sprawiło mu może pewną ulgę, że odpowiedzialność za czyn chwilowo spoczęła na misjonarzu. I gdy znikła ruchliwa figurka i dawno już ucichło echo kroków misjonarza na ulicy, profesor wciąż jeszcze nie poruszał się, jak człowiek w transie. Nie zmienił jeszcze pozycji, kiedy zadudniły znów na trotuarze kroki, i wszedł misjonarz, ale bez książki.

— Doktór Hankey — zabrzmiało objaśnienie przybysza — chce narazie mieć książkę u siebie i zastanowić się. Prosi, żebyśmy potem przyszli, a on nam powie co robić. Specjalnie prosił, żeby pan też przyszedł, profesorze. Openshaw spoglądał w milczeniu, nagle spytał:

— Ki diabeł ten doktór Hankey?

— Pyta pan, co za diabeł? — odparł Pringle z uśmiechem. — Wielu myśli, że diabeł. Zdobył rozgłos w tej samej specjalności, co i pańska, lecz na terenie Indyj, gdzie studiował magię, zabobony miejscowe e. t. c. Dlatego tu tak mało znany. Mały, żółty, kulawy, kapryśny. Jednakże wyrobił już sobie imię w pewnych kołach, i trudno mu doprawdy coś zarzucić — chyba to jedno, że zna rozwiązanie tej niesamowitej zagadki.

Profesor Openshaw dźwignął się z fotela, ujął za słuchawkę telefonu i porozumiał się z księdzem Brownem. Zamiast przy obiedzie, postanowili się spotkać przy kolacji. W ten sposób zyskał czas na odwiedziny u znawcy indyjskiej magii. Następnie znów pogrążył się w fotelu i znów zapadł w rozmyślania, wypuszczając z cygara kłęby dymu. O umówionej godzinie ksiądz Brown czekał w restauracji, gdzie się miał spotkać z profesorem. Jakiś czas przechadzał się w westibulu wśród zwierciadlanych tafli i palm rosnących w donicach. Uwiadomiony był o zamiarach Openshawa. W miarę jak ciemniały zwierciadła i liście palmowe otulały się mrokiem wieczoru, czuł, że ten mrok spowija jakąś nieoczekiwaną tajemnicę. Czy profesor wogóle nadejdzie? Przyszedł wreszcie, ale samym wyglądem potwierdził, że przeczucia nie omyliły księdza. Profesor wzrok miał prawie obłąkańczy, włosy w nieładzie.

Wrócili z panem Pringlem z wycieczki na północ Londynu. W tej części miasta dzielnice mieszkalne graniczą z napół dzikiemi rezerwatami parkowemi. Musiał to być pejzaż ponury w promieniach słońca strzelających z pod czarnych chmur burzy. Udało się im jednak w tej dzielnicy odnaleźć stojący nieco na osobności dom, którego szukali. Mosiężna tabliczka opiewała: „J. I. Hankey, M. D. M. R. C. S.".

Sam doktór Hankey, M. D. M. R. C. S., był atoli nieobecny. Na to co zastali, z góry przygotowały ich przeczucia. W zwyczajnym pospolitym saloniku, leżała na stole straszna książka, jakby ją ktoś czytał przed chwilą. Drzwi w głębi były otwarte naoścież, od drzwi zaś ślady prowadziły po ścieżce ogrodowej bardzo stromej, wręcz niedostępnej dla kaleki, a jednak ktoś kulawy biegł nią niedawno pod górę, bo wśród śladów znaczyły się odciski protezy. Trop kończył się dwoma takimi odciskami, jakby wreszcie kaleka podskoczył, dalej zaś nic nie było. Wniosek nasuwał się wyraźny. Widocznie doktór Hankey wymusił na sobie decyzje i poniósł konsekwencje, wyczuwawszy w książce na siebie wyrok zagłady.

Gdy przybysze wyłonili się z pod palm, Pringle odrzucił książkę jakby paliła mu ręce. Ksiądz spojrzał na nią ciekawie. Litery na okładce tłoczone były niezgrabnie, pod nimi napis:

(Dokończenie na str. 6).

Dlaczego Podbipięta?

Do późna w noc czytałem książkę Alexis'a Carrel'a *) „L'homme cet inconnu"". Trafiwszy na zdanie, że *„człowiek pod względem wielkości zajmuje miejsce w pół drogi między atomem a gwiazdą"*, bezwiednie spojrzałem w okno.

Trzema gwiazdami przepasany, stał Orion na październikowym niebie, pośród pierzastych obłoków, biało-rudych, jak krzaki po przymrozku. Wyobraźnia zaraz obrysowała gwiazdozbiór wedle mitu w kształt strzelca. Zaczął mi przypominać kogoś dobrze znanego, ale mozolnie kojarzyły się myśli.

Wionął wiatr i wielkolud uzbrojony ruszył naprzód, po kolana w obłokach. Poznałem, kogo przypominał! Sienkiewiczowska tęga proza zatętniła mi w myślach:

„Pan Longinus Podbipięta rozpuścił swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym, depcąc krze; co stąpi krok, to jakby kto inny pięć".

Pan Podbipięta! W samą porę — witamy! Właśnieśmy się głowili nad nagłówkiem, któryby pismu był drogowskazem i patronem. Bóg zapłać, panie Podbipięto, żeś raczył przyjść do głowy... Już cię nie wypuścimy z Polski, aż pożyjesz po naszemu.

Nie mów, że „słuchać hadko" takiego zaproszenia. Polsce dzisiaj potrzeba Longinusa Podbipięty. Nie będziesz wprawdzie cwałował apokaliptycznie na inflanckiej kobyle, aby Zerwikapturem rąbać wrota dla skrzydlatej husarii w czworobokach pogańskich... Zamiast skrzydeł dostaniesz tylko — *pióro*, a musi Ci ono „także" i za Zerwikaptur wystarczyć... Zamiast opancerzonej kobyły — platformy tramwajowej „dosiędziesz", a zamiast trzech głów — codzień półgłówków półtuzina wypłazujesz. Będą i niecodzienne, twardsze, godniejsze Ciebie, panie Podbipięto, roboty.

Ufamy, że zostaniesz z nami, że gdyby nawet sami niebianie przytrzymywali Cię za poły między gwiazdami, tobyś im również odpowiedział: „A taki pójdę, braciaszki!" — jakeś rzekł panu Zagłobie, kiedy Cię od samotnej wycieczki przez czerń ze Zbaraża odwodził.

Wdziewaj-że *nolens volens* ciało na duszę na stałe. Musisz z powrotem iść do twierdzy, zagrożonej od wschodu i zachodu. Musisz pod polskim nieustannym Zbarażem słuchać po ciemku jęczenia dusz „w bratobójczej walce poległych", zmuszonych po czyścowemu „z wichrem krążyć nad padołem łez, dopóki odpuszczenia wspólnych win i zapomnienia, i zgody u nóg Chrystusowych nie wyżebrzą".

St. Miłaszewski.

*) Dr. Alexis Carrel: „Człowiek istota niezbadana".



Zrzędność i przekora

Z niewydanego studium znakomitego krytyka, podajemy ustęp, w którym przedstawiona jest zrzędność i przekora jako „humorystyczna forma miłości braterskiej."

Równolatka z pierwszym Fredry folblutem komediowym: z „Mężem i żoną", następna chronologicznie po „Panu Geldhabie" w r. 1822 napisana jednoaktówka: „Zrzędność i przekora" nie może się co prawda skarżyć na złe losy w teatrze i u krytyków, bo grywali ją najtęższi nasi aktorzy: Żółkowski, Rapacki, Frenkiel, Solski — a już Tarnowski zwrócił na nią trochę uwagi, jako na studium charakterów, ale nigdy nie miała ona baczniejszego rozpatrzenia: czym jest w linii rozwoju Fredry i czym jest jako — bezwiednie choćby — temperamentowi polsko-szlacheckiemu postawione zwierciadełko.

Wina w tym trochę okoliczności, że to *jednoaktówka*, a więc rodzaj komediowy, z góry skazany na definicję: *drobiazg*. Wystarczy nie wczytać się dostatecznie w „Zrzędność i przekorę" — i cóż zostanie we wrażeniu? Kilkoma scenami opowiedziana historia o panience, która nie może wyjść za mąż, bo stryjowie-opiekunowie jej, patentowane kłótniki, jeden drugiemu na złość nie mogą się nigdy zgodzić na jednego i tego samego konkurenta — i gdy nie pomagają żadne prośby i przekładania, wyprowadzony z cierpliwości amant taką stryjaszkom wyprawia awanturę, tak ich z kretesem plantuje, tyle jednemu i drugiemu pali prawdy w oczy, że stryjaszkowie ustępują, po czym Veni Creator...

Istotnie więc nie wiele. Tylko jaka w przeprowadzeniu rzeczy zręczność u tego początkującego bądź co bądź komediopisarza! Jak mało stosunkowo dłużyzn, jaka gospodarność w ograniczeniu się do niezbędnych li tylko czterech figur, jaka siła charakterystyki obu stryjów, że po pierwszych kilku zdaniach mamy już ich portrety gotowe — i jaki dar akcji, że choć rdzeń ich charakterów wystrzelił już na początku, nie stają nam się monotonnymi w dalszym ciągu, lecz przeciwnie: coraz bardziej zabawni, coraz to odmienniejsi w swojej przekorności. No i sam finał: łatwą byłoby rzeczą rozwiązać komedyjkę tym, że stryjkowie zezwalają na ślub synowicy z Lubomirem, bo nareszcie, po raz pierwszy w życiu *zgodzili się na jedno*. Byłoby to w duchu ówczesnego komediopisarstwa, lubiącego w ostatniej scenie miewać nawróconych grzeszników. Fredro nie chce sobie ułatwić sprawy podobną konwencjonalnością: jego bracia Zrzędowie i tu — w końcowej scenie — nie przestają być wierni swojej przywarze; autor tak kieruje akcją, że nie z innej przyczyny, lecz by znowu jeden drugiemu *zrobić na złość*, podpisują kolejno swoje stryjowskie zezwolenie. Akt aprobaty, jak pieczęcią, przybity zasadniczą cechą ich charakteru. Tak majstersko do ostatniej kropki konsekwentnie doprowadzonych komedyjek nie wiele było w literaturze, nie tylko naszej, w tych czasach koło 1820 roku.

Amant komedii, Lubomir, jak i jego imiennik z „Pana Geldhaba" nie wydobywa się na wierzch żadnymi żywszymi rysami — natomiast, na co dotychczasowa krytyka mało zwracała uwagi, warto się przypatrzeć obierze stryjków-kłótników, pannie Zosi Zrzędziance, amantce sztuki. Warto jej się też przypatrzeć z tego względu, że jest to pierwsza *polska* panna, jaką nam ukazuje Fredro. W „Intrydze na prędce", pierwszej próbie komediopisarskiej Fredry, trudno mówić o jakichś cechach psychologicznych, bo było to raczej libretto do muzyki, której zbrakło, a „amantka" w „Panu Geldhabie", Flora, Niemką jest czy żydówką, to wszystko jedno, ale żadną miarą nie może być panną polską. Od Zosi Zrzędzianki rozpoczyna się galeria niewieścia w twórczości, która wydała Elwirę z „Męża i żony", Zofię z „Przyjaciół", Anielę i Klarę.

Zosia Zrzędzianka, szesnastoletni pączek, żyje pod ciągłą opresją opiekunów. Pióro autorskie samo niejako powinno by było iść po linii najmniejszego oporu: ofiara, biedactwo, uosobienie potulności. Talent Fredry oparł się i tu łatwiźnie. To dziewczyniątko ma swój rozumek i swoje kobiece chytrostki. Gdy Lubomir poucza ją, jak ma stryjków zażyć z mańki, Zosieńka przerywa mu: „wiem, co mam mówić". Gdy jeden z opiekunów przekłada jej trudności stanu małżeńskiego, dzieciątko upewnia go: „nie turbuj się stryjaszku ja sobie poradzę". Gdy ją pytają, czy jej za mąż pilno, bez zająknienia odpowiada: „o, i bardzo", a w przystępie zniecierpliwienia wali stryjom prosto z mostu: „róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć muszę". Ta milusińska dobrze przemyśliła, że stryjkowie „sami kochać *nie mogą*, to i drugim bronią". — Nie dla niej lecz dla jej stryjów pisał Fredro „Zrzędność i przekorę", więc jej charakter znaczy się tylko rozpierzchłymi światełkami, ale możemy poznać, że autor widzi Zosię Zrzędziankę jako stworzenie z krwi i kości, dalekie od bierności „amantek" komediowych z XVIII wieku, temperamencik zadziorny, siewne ziarno, z którego później wzrośnie wonny, acz kolczasty kwiat Klary ze „Ślubów panieńskich".

Zosia jest kontrastem komediowym obu swoich stryjów, ale czy jest kontrastem ich psychologicznym? — „Nikt by mi, gdybym chciała, nie dał tutaj rady!" — powiadamia nas ta „ofiara", — jedno krótkie wypowiedzenie się, a cała w nim *Zrzędzianka*, nieodrodna latorośl rodu despotów, rogatych dusz. Niech ta dziś młodziutka dzieweczyna pójdzie w lata, a może ją będziemy mieli taką samą zrzędziochą, uparciuchą i postrachem otoczenia, jakimi są pan Piotr i pan Jan Zrzędowie. Umieć było podobieństwo rodowe utrzymać w figurze komediowo-kontrastowej to także nie lada walor „Zrzędności i przekory".

Tak oto przez charakterek tego niewiniątka Zosi dochodzimy do obu stryjów, panów Zrzędów.

Nie wiem, czy wpływołodzy fredrologiczni znaleźli już w obcych literaturach pierwowzór „Zrzędności i przekory" i czy ich argumenty są również uciešzne, jak np. wpływ Goldoniego na... „Odludków i poetę", ale wiem, że gdyby się znalazło gdzieś podobne źródło natchnienia dla Fredry, to jednak pan Piotr Zrzęda i jego brat, pan Jan pozostaliby na pewno typem polskim.

Oczywiście: upór, przekorność, dokuczliwość, kłótliwość są cechami ogólno-ludzkimi, ale jakże polsko - szlachecki przybierają krój w tej komedii Fredry! Boże mój, iluż takich właśnie *braci* widziała niespisana historia naszych rodzin w czasach, kiedy „było dość grosza, a wydatków mało", kiedy pszenica dobrze w Gdańsku płaciła, kiedy czas był wywczasem, a nuda stwarzała nieprawdopodobne kombinacje dziwactw!

Treść komedii nie napomyka o tym, ale jakże łatwo wyczuć, że najbliższy, najbezpośredniejszy motor ich przekorności, ich żółci, ich wzajemnej dokuczliwości to nie co innego, jak *podagra*, polska córa węgierskiego tokaju. To te saskie beczki, wpuszczane w gardła przodków, tak wyłażą bokiem panom Zrzędom i cały zahamowany ich animusz przemieniają w piekielnictwo. To fizyczne źródło ich komiki pozostaje w zgodzie nawet z geniuszem polskiego języka, który definicję „kubek w kubek" wynalazł dla pojęcia jednakowości matematycznej...

W wieczystej niezgodzie panów Zrzędów jest pewien podskórny nerw, może znowu specyficznie nasz polski:

Ich wojna, ich nieustanne bijzabij, ich „ty tak, to ja tak", ich wzajemne zalewanie sobie sadła za skórę to jakaś humorystyczna odmiana miłości braterskiej. Przysiąc by można, że jeden bez drugiego się nudzi, że wyżyć by bez siebie nie mogli, że kłótnia z kimś obcym nie ma już dla nich takiego smaku; że gdy jeden umrze, to nad jego grobem drugi będzie się czuł sierotą, bo z kimże mu teraz za łby się wodzić?! To też, gdy pod koniec komedii, rozjeżdżają się, rzekomo tym uszczęśliwieni, nie dowierzamy im: zjadą się napowrót i rozpoczną na nowo swoje polsko-szlacheckie braterstwo... Niezgoda, jako swoista postać więzi społecznej...

W braterskich bojach panów Zrzędów co jest szczególnie zastanawiające to ta pasja, z jaką jeden chce zwalczyć drugiego, ta suma energii, włożona w niezgodę. Czuje się w nich gatunek rasy o niebywałej sile rozpędowej. W tej rasie starość nie uspakaja wigoru, tylko mu zmienia oblicze. Za młodych lat i w warunkach XVIII polskiego wieku, Zrzędowie rąbaliby się po sejmikach, nie mieliby apetytu na wieczerzę, gdyby się przedtem nie pokłócili z kimś na amen, gdyby nie zadarli z kimś, gdyby im dzień przeszedł bez piekła, — zestarzeli się, a i czasy się zmieniły, więc przy piecu, z okładami na zartretyzowaniach -- między sobą, u siebie w domu spłacają trybut atawistycznemu awanturnictwu, funkcji niezorganizowanego nadmiaru sił żywotnych.

Godna uwagi — powiedzieliśmy — jest ta siła rozpędowa w temperamencie braci Zrzędów. I całą zużywają li tylko na destrukcję. Z tej strony na nich patrząc, widzi się, jak „Zrzędność i przekora" umiała w skurczonych wymiarach domowych pokazać zasadniczą właściwość szlachecką: nieustępliwość. Mamy tu jakby wstępny szkic „Zemsty". Tylko sobie poszerzyć możliwości braci Zrzędów, tylko ich impet przenieść na tło publiczne, a będziemy mieli stuletnie braci-szlachty wadzenia się przed trybunałami o stajonko piachu — i zajazdy — i gwałty.

Miniaturowymi kreskami oddana jest w tej komedyjce podobizna przysłowiowej niezgody polskiej. Pana Piotra i pana Jana Zrzędę da się dziś jeszcze rozprowadzić na niejedną dziedzinę naszego życia zbiorowego. W komedyjce Fredry odbywa się scena, kiedy Lubomir, nie widząc innego sposobu, bierze obu kłótników za czuby i do jedności ich doprowadza; nie inaczej sobie pono z polską niezgodą — i to nie raz — postąpiła Historia...

A. Grzymała-Siedlecki

Plagiat „bohaterski"

Rzecz niesłychana: nie sam plagiat, — tych ujawniło się u nas kilka, od starej piosenki pseudo-apaszowskiej „Valse brune" do studiów „źródłowych" o nowej literaturze hiszpańskiej.

Czemś niesłychanym dotąd jest stanowisko bohatera afery, który twierdzi, że bezzwrotnej pożyczki literackiej dopuścił się przez p o ś w i ę c e n i e, niemal przez h e r o i z m bojowca ideowca.

Mamy więc nowość: pierwszy w Polsce p l a g i a t b o h a t e r s k i. Sprawa zasługuje na streszczenie. Tygodnik „Prosto z Mostu" z d. 8. XI. skonfrontował 70 wierszy z dzieła B. Russel'a „Pochwała próżniactwa" z 90 wierszami p. W. Rzymowskiego, wyjętymi z jego nowej książki, mianowicie z rozdziału p. t. „Prawo do życia i powinność pracy". Zestawienie pokazało, że przytoczony tekst „Powinności pracy" jest rozwodnionym odpisem „Pochwały próżniactwa".

Na odrębności tytułów zbudował oskarżony swą pierwszą linię obronną, dając do zrozumienia, że skoro on zaleca trud, a Russel chwali lenistwo, to podobieństwa są nieistotne i żadnego plagiatu nie ma.

Skuteczności tak prymitywnego wybiegu sam p. Rzymowski niebardzo dowierzał, bo tuż - tuż bardziej pomysłowo uzbroił linię drugą, przy czym nie szczędził ofiar, deprecjonując — sam siebie. Bowiem przyznawszy się półgębkiem, że teksty odpisał, bagatelizuje ich zawartość, jako zdawkową k o p r o w i n ę f r a z e o l o g i c z n ą, wybijaną fabrycznie masami na użytek propagandy maksymalistycznej, mniej więcej wszędzie, choć pod różnymi firmami. Jest to, według p. Rz., „moneta obiegowa", czyli bilon ideowy, używany przy prawidłowym wzniecaniu walki klas.

W tych wywodach jest pewien procent słuszności, nawet spory. W książce p. Rzymowskiego kołaczą się naprawdę liczmany z drugiej i trzeciej ręki, — to niezbity fakt. Ale p r z y z n a j e s i ę do tego ten autor z a p ó ź n o, bo dopiero wtedy, gdy się liczmanów puścić w ruch za dobrą monetę nie udało, czyli dopiero p o w y k r y c i u odcisku jego palców na cudzym, choćby niewiele wartym.

Zresztą i z kasy komunalnej nawet nie przystoi brać drobnych bez pokwitowania, nieprawdaż?

W kłopocie p. Rz. postanowił jakość swych argumentów nadrobić ilością. Wprowadził zatem p a t c s i k do gry i przeszedł, chwacko gwiżdżąc na prawdę, — z obrody do ataku. Ma bowiem śmiałość tak pisać o swojej książce, której pełny tytuł brzmi: „W okopach zeszłego stulecia":

„Podejmując w niej argumenty, godzące w przywileje możnych i bogatych, nie byłem zmuszony do mobilizowania nazwisk, które za tymi argumentami stoją (t. j. nazwisk autorów, którzy te argumenty stworzyli. P r z y p. R e d.). Wiedziałem bowiem, że nie chwała a zemsta będzie za nie najrychlejszą zapłatą. Nie fakt znalezienia właściwej cytaty, ale jej wypowiedzenie w książce i wzięcie za nią odpowiedzialności osobistej ma takich razach znaczenie decydujące".

To niesłychane, to nowe, — ten pewny siebie ton! Zwłaszcza to „wzięcie odpowiedzialności" i — własności — cudzej, jakże wysoce ofiarne! P. Rzymowski każe domyślać się, że przez przyswojenie sobie tekstu Russela ocalił tego bezbronnego cudzoziemca od zemsty polskich „możnych i bogatych" Może nawet od pożarcia go przez krajowego Lewiatana, chociaż ten olbrzym ma więcej brzucha niż zębów?

Oto jest moment szczytny w atelierze p. Rzymowskiego: dzięki temu akademikowi rodzi się nowa forma plagiatu: — Jest to p l a g i a t p r z e z p o ś w i ę c e n i e, plagiat b o h a t e r s k i — copyright by Wincenty Rzymowski — Warsaw.

Po stoicku, po rzymsku, po cyceroński występuje ten akademik polski przeciwko Katylinom miejscowym, że mu plagiat wytknięto. Ni mniej ni więcej, tylko o „bandycką napaść" oskarża ich prosto z mostu, bijąc w stół redakcyjny na odlew z akademicką pasją.

Lecz gdyby takiej „bandyckiej" rewizji przemycanych tekstów nie było, to co?

Autor „Okopów" szerzyłby swoją metodę w spokoju i przyswajałby może coraz to inne utwory, aby autorów chronić przed atakami zemsty możnych i bogaczy. Jakby tak dalej poszło, to Akademia z M. S. Zetem i Funduszem Narodowym musiałaby zapowiedzieć chyba 44 tomy pism „wybranych" p. Rzymowskiego...

* * *

A teraz parę uwag o prawie autorskim. Polska, jak wiadomo, przyjęła je w najbardziej nowoczesnej formie przez przystąpienie do Konwencji Berneńskiej. Według dziś obowiązujących pojęć prawnych wybór oraz swoiste zestawienie cytat może wykazać cechy twórcze i może nawet podlegać ochronie prawa, na równi z twórczością bezpośrednią. Jednak pod żadnym pozorem nie wolno zatajać nazwisk autorów, z których brało się cytaty i nie wolno milczkiem podawać ich za swoje, przez opuszczenie cudzysłowów, odsyłaczy, lub przypisów objaśniających. Sumienny wykaz źródeł, którymi dany autor się posługiwał, stanowi nieodzowną część każdej poważnej i kulturalnie opracowanej rozprawy.

P. Rzymowski w swej książce wyłamał się z tych zasad. Bowiem tylko lokucje klasyczne, powszechnie i od dawna znane, wolno cytować bez podania źródła. Wolno także bez specjalnych objaśnień oblekać w nową formę twórczą tematy odwieczne, bo wtedy sam tytuł, lub dobór znanych bohaterów, jest automatycznym wskazaniem źródeł i odsyłaczem do nich, jak np. w „Achilleis" Wyspiańskiego, albo „Judycie" Giraudoux.

Kto lepiej od akademików powinien znać reguły prawa autorskiego? Kto najuważniej powinien czuwać nad ich w n i k l i w e m stosowaniem, jeśli nie znawcy, uczczeni akademizmem literackim? Przeto występek akademika przeciwko obowiązującemu w państwie prawu autorskiemu równa się co najmniej zrobieniu zabronionej operacji przez profesora chirurgii.

Uznanie ducha Konwencji Berneńskiej w Państwie Polskim wskazało nam, obywatelom, że dorobek umysłowy znajduje się pod najtroskliwszą, w najsubtelniejsze odcienie twórczości wnikającą — ochroną prawną. Gwałcenie takich wskazań przez akademika jest czymś monstrualnym, czymś równoznacznym... z nadużyciem władzy przez dygnitariat urzędniczy. I w takiej właśnie skali powinno być karane.

* * *

Polska Akademia Literatury nie może pokryć milczeniem oskarżenia, wytoczonego przeciwko akademikowi. P. A. L., nasze grono „nieśmiertelnych", musi zareagować, przynajmniej moralnie. Inaczej narażałaby swą powagę na uszczerbek.

Akademika, któremu udowodniono plagiat, trzeba wyłączyć z Akademii. Należy go, — że tak powiem, — z a w i e s i ć w n i e ś m i e r t e l n o ś c i. Choćby na tak długo, jak długo trwają uroczyste minuty milczenia podczas obchodów, albo gaszenie świateł na spotkanie Nowego Roku w restauracjach. Niech choć przez sekund 60 każdy z akademików powtórzy sobie z ulgą: „Nic a nic nie mam wspólnego z aferą p. Rzymowskiego, to mój b y ł y k o l e g a — jeszcze przez kilka mgnień".

Bardzo orzeźwi akademików taka chwilka... Doda im sił do przyszłej z oskarżonym wspólnoty, tak jak dwa ziarnka gorczycy posiliły fruwające między niebem a ziemią nijakie dusze w „Dziadach".

Stanie się przez to zadość, jeżeli nie samej sprawiedliwości, to choć h i g i e n i e moralnej. Ogół przekona się, że jednak w z a s a d z i e nie wolno akademikom literatury pomiatać jej prawami, tak jak nie wolno w klinice uniwersyteckiej brać się do operacji mózgu, mając za paznogciami brud.

* * *

Poza tym jest tylko jedno wyjście: niech oskarżony nagle sobie przypomni, że ma od dawna w biurku list Bertranda Russela, pozwalający mu na bezimienne pożyczki. Żargonowe brukowce w lot „zażyrują" autentyczność epistoły w takim mniej więcej stylu:

„Drogi towarzyszu Wincenty! Tyle zawdzięczam waszemu głosowi prawdy o Romanie Dmowskim, jako czcicielu diabła, że zapraszam was do czerpania cytat z moich utworów bez podawania mego nazwiska. To niepotrzebne między nami. Zwłaszcza, że przy idealnej naszej jednomyślności, ja sam niekiedy nie wiem, co moje, a co wasze.

Z bliźniaczym pozdrowieniem
Bertrand Russel (bez daty).

„Acta est fabula...

S. M.

Straszliwa książka

(Dokończenie ze str. 4-ej)

(Dokończenie ze str. 4-ej)

Kto czytać się ...nie ośmieli
Tego wszyscy dia...li wzięli.

Poniżej zaś, jak później sprawdził, to samo ostrzeżenie wypisane było po grecku, łacinie i francusku. Obaj wędrowcy, zmęczeni i zdenerwowani, zażądali najpierw czegoś do picia. Openshaw kazał podać koktaile.

— Zostanie pan z nami na obiad? Zwrócił się do misjonarza profesor. Pringle odmówił uprzejmie. — Proszę mi wybaczyć, przeprosił. — W tej chwili chciałbym jakoś sam uporać się z myślami. Czy mógłbym zostać z książką w biurze pańskim przez jaką godzinę i tam zebrać myśli w samotności?

— Lokal teraz zamknięty — zdziwił się na to profesor. Zapomina pan, że szyba wybita. — zabrzmiała replika. I z najuprzejmiejszym grymasem wielebny Łukasz Pringle wyszedł i zniknął w ciemnościach.

— Jakaś bardzo dziwna figura, zastanawiał się, marszcząc brwi, profesor.

Zdziwiło go też trochę zachowanie księdza, który tymczasem wdał się w rozmowę z kelnerem od koktailów. Poruszyli w niej snać bardzo prywatne tematy. Niemowle było już zdrowe...

Profesor zachodził w głowę, skąd ksiądz zna tego kelnera. Otrzymał odpowiedź: — przecież zachodzę tu co parę miesięcy, więc czasem rozmawiamy. Profesor bywał w tej restauracji przynajmniej pięć razy na tydzień, lecz mimo to nigdy mu do głowy nie przyszło nawiązywać rozmowę z kelnerem. Zaledwie uprzytomnił to sobie, gdy zabrzmiał ostry dzwonek i wezwano go do telefonu. Mówił Pringle, głos brzmiał niewyraźnie, wi...ać wieznął w przeobfitym zaroślcie. Treść rozmowy wykluczała wszelką pomyłkę.

— Panie profesorze, nie wytrzymam już dłużej, mówił głos. — Zaraz sam zajrzę do książki. Ona leży przede mną, mówię z redakcji. Żegnam pana na wypadek, gdyby mi się co stać miało. Nie, niech mnie pan niepowstrzymuje. I tak pan nie zdąży. Otwieram książkę, A....

Openshaw usłyszał niegłośny, a przejmujący stuk. Wołał Pringla raz po raz, lecz daremnie. Nie było słychać nic. Powiesił słuchawkę, i odzyskawszy piękny spokój akademicki, nieco wprawdzie przypominający spokój rozpaczy, wrócił do sali i obojętnie usiadł. Następnie ze spokojem naukowca, demaskującego niezgrabną próbę oszustwa na seansie, opowiedział księdzu całą straszną historię szczegółowo. — Pięć osób więc zniknło w ten niewytłumaczony sposób, zakończył. Wszystko bardzo dziwne, ale najdziwniejsze to, co się stało z tym moim skrybą. Berridge było to uosobienie przeciętności, najcichszy z ludzi.

— Tak, odrzekł ksiądz, — Berridge — i to, tak, to dziwne. Zawsze był niesłychanie obowiązkowy. Najstaranniej oddzielał pracę w biurze od wszystkiego co prywatne. Dlatego mało kto wiedział jaki był z niego na terenie domu humorysta.

— Co też ksiądz opowiada? — żachnął się profesor. — Berridge? Jakto? Czy go ksiądz znał?

— Skąd znowu, tyle co tamtego kelnera, miarkował ksiądz Brown profesora. Nieraz czekałem na pana w redakcji, kiedy pana nie było, i przy tej sposobności rozmawiałem z zapracowanym Berridgem. To była niełada fantazja. Raz, pamiętam, powiedział mi, że chciałby zbierać rzeczy



niepotrzebne, jak filateliści swoje znaczki.

Zna pan tę historię o babie, co zbierała niepotrzebne rupiecie?

— Nie wiem o czem ksiądz mówi, zniecierpliwił się Openshaw. — Nawet jeśli mój pisarczyk był ekscentrykiem (a doprawdy nie znam nikogo, coby mniej na ekscentryka wyglądał), to jeszcze nie tłumaczy tego, co się z nim stało, ani tym bardziej losu tamtych innych.

— Jakich innych? — zapytał ksiądz.

— Profesor popatrzył nań i przemówił wyraźnie jak do dziecka.

— Proszę drogiego księdza, tu zniknęło razem pięć osób.

— Kochany profesorze, tu wogóle nikt nie zniknął.

Spojrzenie księdza było niemniej przenikliwe, słowa niemniej wyraźne. Ale na żądanie profeso-

ra musiał jeszcze raz przesylabizować.

— Mówię, że wogóle nikt nie zniknął.

— Po chwili milczenia podjął: — ludzi trudno przekonać, że zero plus zero równa się zeru. Uwicrzą w najdziwniejsze rzeczy, jeśli rzeczy te stanowią szereg. Dlatego właśnie Makbet uwierzył trzem czarownicom, choć pierwsza powiedziała mu coś, co i tak wiedział, a trzecia przepowiedziała coś, czego spełnienie tylko od niego samego zależało. — W pańskim rozumowaniu najsłabsze jest ogniwo środkowe.

— Co ksiądz mianowicie chce powiedzieć?

— Nie widział pan niczyjego zniknięcia: ani jak zniknął ów pasażer z pokładu, ani jak kapitan z namiotu. Polega pan na relacji Pringla. Co warte jego słowo, o tym narazie nie będę mówił. Ale niech mi pan przyzna, że niedałby mu pan wiary, gdyby prawdy opowiadania nie potwierdziło zniknięcie sekretarza. Makbet też nie uwierzyłby, że będzie królem, gdyby nie sprawdziła się przepowiednia o Cawdorze.

Może to i racja — przytaknął po namyśle profesor. — Sedno w tym, że potwierdzenie przyszło. Powiada ksiądz, że sam nie nie widziałem. Ale owszem. Przy mnie zniknął mój sekretarz. Berridge zniknął bez żadnej wątpliwości.

— Berridge nie zniknął, zaprzeczył ksiądz. — Wręcz odwrotnie.

— Psiakrew. Co to ma znaczyć: to „odwrotnie?"

Twierdzę, odpowiedział ksiądz Brown, że Berridge pojawił się, nie zniknął.

— Openshaw wytrzeszczył oczy, ale był w nich już jakiś nowy wyraz, myśl poraża się już z zagadnieniem w nowym ujęciu. Tymczasem ksiądz ciągnął dalej.

— Pojawił się w pańskim gabinecie przebrany, w pelerynie i z przyczepioną sztuczną brodą. Przedstawił się jako wielebny Łukasz Pringle. Pan zaś do tego stopnia nie zwrócił nigdy uwagi na swego sekretarza, że w przebraniu tem, tak przecie nie wyszukanem, już go pan nie mógł poznać.

— No dobrze, ale jednak — próbował oponować profesor.

— A umiałby pan podać rysopis dla policji? Gdzie tam. Pewnie conajwyżej potrafiłby pan powiedzieć: ktoś gładko wygolony i w ciemnych okularach. Gdy więc zdjął okulary, już to samo starczyło za wszystkie przebrania. W oczy nie zajrzał mu pan nigdy, ani w duszę. A zobaczyłby pan, jakie to oczy wesołe, pełne śmiechu. Kiedy już przygotował książkę i wszystkie rekwizyty, najspokojniej wybił szybę przypraw ił sobie brodę, wdział pelerynę i wtargnął do pańskiego gabinetu, wiedząc dobrze, że właściwie nigdy go pan w życiu nie widział.

— I poczóby miał płatać taki wariacki figiel?

— Ależ właśnie dlatego, że nigdy pan na niego nie popatrzył, zirytował się księżyna. Palce ręki zacisnęły się, jakby pięść miałą zaraz w stół uderzyć, lecz nie drgnęła. — Nazywał go pan automatem, bo używał go pan jak automatu. Nie zorientował się pan nawet w tym, o czym wywiedzieć się mógł byle kto po paru minutach rozmowy: że to jest indywidualność, że trzymają się go kawały, że ma swoje wyrobione zdanie o panu, o pańskich teoriach i o pańskiej rzekomej znajomości ludzi. Rozumie pan jak go korciło udowodnić, że nie pozna pan własnego sekretarza. Folgował też niektórym pomysłom niedorzecznym, że warto np. zbierać przedmioty niepotrzebne. Słyszał pan o tej babie co kupiła dwie rzeczy najbardziej bezużyteczne: starą tabliczkę mosiężną po jakimś doktorze i sztuczną nogę drewnianą? Z pomocą tych dwóch przedmiotów spryciarz ugruntował pańskie wyobrażenie o dziwnym doktorze Hankeyu. Poszło mu równie łatwo, jak z fikcyjnym kapitanem Walesem. Zainscenizował więc we własnym domu...

— Jakto, więc ten dom w Hampstead, gdzie byliśmy, to dom Berridge'a?

— A czy pan znał ten dom? Czy pan znał choćby adres? — odrzekł ksiądz. Ja przecież mam wielki szacunek dla pana i pańskiej pracy. Wiernie służy pan prawdzie, tego nie wolno lekceważyć. Iluż to łgarzy potrafił pan przejrzeć na wylot. Szkoda jednak, że przygląda się pan tylko łgarzom. Niechże się też pan przyjrzy czasem uczciwym ludziom — ot takim choćby jak ten kelner.

— A gdzie jest teraz Berridge? — zapytał po długim milczeniu profesor.

— Z wszelką pewnością w redakcji. — Pojawił się tam akurat wtedy, gdy wielebny Łukasz Pringle jął czytać straszliwą książkę i rozwiał się w nicość.

Znów długo trwało milczenie, aż wreszcie znakomity profesor się roześmiał, jak śmieje się człowiek dość wielki na to, żeby wydawać się małym. Potem rzekł nagle:

— Słusznie dostało mi się, skoro nie znam najbliższych swych współpracowników. Ale przyzna ksiądz, że wszystko to razem działało niesamowicie. Czy ani na chwilę nie poczuł ksiądz lęku przed tą straszliwą książką?

— Ach, odpowiedział ksiądz Brown, książkę otworzyłem zaraz jak tylko ją tu zobaczyłem. Czyste kartki. Widzi pan, ja nie jestem zabobonny.

DOKTÓR J. I. HANKEY. *Członek Królewskiego Kolegium Chirurgów.*

„Wódz ogółu żydowskiego w Polsce"...

B. p. Iszuche Thon rabi, dr., poseł, prezes, talmid-chacham

Dnia 12 b. m. zmarł w Krakowie dr. Ihusze Thon, przeżywszy lat 66.

Była to osobistość głęboko tkwiąca w żydostwie. W swej działalności politycznej ściśle wypełniał nakazy judaizmu, które poznawał od wczesnej młodości. Był uczniem rabina lwowskiego, gaona rabiego I. Szmelhesa. Będąc na uniwersytecie berl. studiował również w seminarium rabinicznym. Współpracował m. in. z J. Berdiczewskim, dr. Herzlem, M. Nordanem, Achad - Haamem i wykuwał wspólnie z nimi ideologię sjonistyczną. Później — bliski współpracownik N. Sokołowa i dr. Weizmana, stwarza wraz z nimi podstawy politycznego sjonizmu (patrz „Hajnt" Nr. 259 z b. r.).

Szybko zdobywa sobie mocną pozycję w żydostwie. Uczestnik wszystkich kongresów sjonist., wieloletni członek (wirylista) sjonistycznego Wielkiego Komit. Wyk. (A. C.), prezydent „org. sjon. zach. Galicji i Śląska". Należał oczywiście do masonerii żydowskiej, t. j. był członkiem loży Bnej - Brith; był prezydentem tej loży w Krakowie i, jak sam stwierdził (w 1928 r.), „od 30 lat zajmuje (w Br. Br.) wcale znaczne miejsce".

W ciągu 17 lat był posłem na sejm polski. W 2 i 3-im sejmie — prezes „Koła" żydowskiego. Z owych czasów datuje się słynna „ugoda", którą dr. Thon „zawarł z endekami" (z min. St. Grabskim). Robiono mu niegdyś z tego powodu zarzuty, tak jak zresztą i społeczeństwo polskie wyrażało z „Ugody" niezadowolenie pod adresem min. Grabskiego. Dziś jednak żydzi inną mają opinię o „ugodzie":

„A obecnie, w świetle nowych wydarzeń, możemy zobaczyć: żydowski „Faust" wywalczył od polsko - endeckiego Mefista papier, cyrograf. Nie dr. Thon skompromitował się „ugodą", lecz endecja, która wykazała swą uległość". („Hajnt" Nr. 260 z 1936 r.).

W roku 1919 był dr. Thon wice - przewodniczącym komitetu deleg. żyd. w Paryżu. Od czasu rozszerzenia Agencji Żyd. (1929 r.) jest czł. jej Rady — prawdopodobnie z ramienia Bnej Brith. Nie wymieniając tu innych godności, sprawowanych przez dr. Thona, stwierdzić należy, że skupiał on w sobie nici polityki żydowskiej w Polsce.

„W ostatnich latach swego życia przeznaczone było Thonowi stać się wodzem nietylko galicyjskiego żydostwa, lecz również całego żydowskiego ogółu w Polsce" („Hajnt Nr. 259, b. r w art. „Przewódca umarł'").

Dr. Thon miał wszelkie cechy nowoczesnego żyda diaspory, który odwieczne cele żydowskie kojarzy z dzisiejszymi dążeniami żydostwa. Wierzy więc głęboko w misję narodu żyd., którą żydom „prorocy jako wieczysty ideał przekazali" i uważa za ‚obowiązek prowadzić nauki proroków o krok bliżej ku ziszczeniu" (p. art. dr. Thona: „A żydzi dalej swoje..." w „Nowy mDzienniku" Nr. 262,z 1930 r.). Ponieważ nadszedł już czas na odbudowę Palestyny — skierowuje swą energię na propagowanie sjonizmu. Należy to jednak robić z sensem:

„Nie można przenosić ponurego golusu do Eree Iszrael, musi być selekcja, przebudowa. przegrupowanie" („Hajnt" Nr 260, b. r.).

Lecz diaspora oczywiście pozostaje i o niej należy dobrze pamiętać. To też dr. Thon

„całe życie poświęci walce na dwóch frontach: wewnątrz, w żydostwie — przeciw asymilacji i na rzecz narodowego odżycia, nazewnątrz, w państwie — walce o prawa żydów jako obywateli i jako mniejszości narodowej". (Hajnt" 259, b. r.).

Oto program, podwójny, który wykonywany równocześnie stanowi treść najistotniejszych dążeń żydostwa. Ale taka „walka na dwóch frontach" — podwójna gra, zniekształca, degeneruje od wieków rozproszony naród żydowski. Dlatego to m. in. potrzebna jest selekcja wśród własnych współwyznawców. Zdrowi — do Erec Iszrael, chorzy — tu, w diasporze, w której podwójna walka trwa dalej.

I tak — dla „swoich" walczy dr. Thon o narodowe odżycie.

Na drugim froncie — u „nich" walczy o prawa dla żydów. Dr. Thon:

„uważał siebie za pełno - wartościowego polskiego **obywatela**, który może wypowiadać swe zdanie we wszystkich bez wyjątku sprawach państwowych („Hajnt" Nr. 260 b. r.).

Jednakże, gdy chodziło o sprawy żydowskie, gdy czynniki rządowe proponowały dr. Thonowi przyznanie praw szkołom hebrajskim, o ile żydzi zrzekną się praw, jakie ma jidysz (żargon):

„dr. Thon odrzucił to kategorycznie, gdyż nie wolno (dosłownie, **nie wolno** — przyp. tłum.) trzeciej stronie mieszać się do naszych żydowskich spraw"...! („Hajnt" jak wyżej).

Oto „równouprawnienie" w specyficznym ujęciu. Lecz dr. Thon rozumiał, że tu kryje się „kawał żydowski". Wszak sam pisał:

„cała ta sprawa równych praw jest „wynalazkiem żydowskim", jednym z wielu wynalazków żydowskich, jednym z wielu kawałów żydowskich, które od nas narody rdzenne przyjęły ze zgrzytem zębów. One jednak musiały je przyjąć". („Hajnt" Nr. 269, z 1931 r.).

Dlatego walczył dalej. Bo

„Równouprawnienie nosił on w swojej krwi" („Moment" Nr. 260 z 1936 r.). „Ciałem i duszą był on wierny demokracji. Miał głęboką wiarę w demokrację... Intuicyjnie rozumiał, że żydowska sprawa jest ściśle związana z demokratycznymi wolnościowymi prądami ludzkości". „I jeszcze jedna idea płonęła zawsze w sercu Ihusze Thona: idea socjalistyczna". „Sjonista i ludowy socjalista (folks-socjalist), myśliciel i bojownik, demokrata i dumny obywatel. Tryskające źródło mądrości". („Hajnt", 260, b. r.).

Oto główne cechy dr. rab. Thona, wielkiego, oddanego swemu narodowi, żyda.

„Wyzionął on swe ostatnie tchnienie (z modlitwą) „Szma Iszrael", tak, jak ci, których imiona są na wieki zapisane w historii żydowskiej".

*

W uroczystym pogrzebie rabina Thona wziął udział prezydent m. Krakowa p. Kapellner-Kaplicki. Że p. Kapellner czci pamięć zmarłego rabina, to całkiem właściwe. Ale że jest prezydentem stolicy Piastów i Jagiellonów — to nie jest właściwe.

S. B.

Dyktatura Ewy

Na szlak!

W tym roku klimat nasz, zawsze dość „kobiecy", ma humor wyjątkowo zmienny. W lipcu omdlewał i dyszał upałem, w sierpniu nagle ochłódł, we wrześniu stroił foch, w październiku niepomny tradycji o polskiej jesieni dogryzał przymrozkami, potem nagle odmłodniał i wdzięcznie uśmiechnięty ani myślał o zimie.

Aż nagle śnieg. Więc starzy narciarze wyciągają rozeschnięte deski z kąta, a portki weterany z naftaliny, gotowi na pierwszy biały sygnał ruszyć na szlak i pogrążyć się w rozkosznym nałogu. Bo górska zima wchodzi w krew jak nałóg. Kto raz zachłyśnie się powietrzem czystszem od eteru, komu wiatr zaszumi w uszach, bryźnie w



twarz igiełkami szronu przy zjeździe między świerkami, kto raz po ciężkiem wejściu zatoczy się od tętna bijącego w skroniach i chłodząc czoło w błękicie, spojrzy na kryształowy, pełen blasków świat leżący u stóp, ten będzie wracał zawsze i zawsze, jak nieuleczalny pijak do swego szaleństwa. Tylko, że szaleństwo narciarza jest mądre. Przynosi mu, wracającemu do miejskiej szarugi, pełniejszy oddech, jaśniejszy wzrok i świeższy rumieniec na twarzy.

„Cudowny zabieg kosmetyczny!" Zawołały panie i jedna przez drugą rzuciły się do narciarstwa. Dziś piękna paryżanka woli odmówić sobie nowej, kosztownej broszki czy futra, byle módz spędzić część zimy w jakiemś St. Moritz. Od nas w Polsce los nie żąda na szczęście takich ofiar. Klejnotów i sobili wyrzekać się nie mamy ani sposobności, ani potrzeby. Nasze góry, łatwo dostępne dla każdej kieszeni, nie obfitują w zbytkowne hotele-pałace, nie wymagają wymyślnej kolekcji strojów. Jadąc tanim pociągiem wycieczkowym na week-end, gdzieś do zapadłej wioski podhalańskiej, wystarcza trochę niezbędnych drobiazgów załadowanych w plecak. Na dłuższy pobyt w Zakopanem lub Krynicy, trzeba naturalnie zabrać kilka sukien do walizki, zwłaszcza jeśli się ma zamiar zwiedzać nie tylko szczyty, ale i kawiarnie. Żadnych jednak trenów, tiuli! Ciepły płaszcz, sweterki, parę skromnych wełnianych sukien na szarą godzinę, wreszcie suknia wieczorowa, niezbyt długa, ciemna, o prostych liniach. Koniecznie pantofelki, któreby w domu czy na dancingu zastąpiły sportowe obuwie.

Za to całą uwagę należy skupić na kostumie narciarskim. On główną odgrywa rolę i chodzi się w nim nieraz od rana do nocy. Powinien być najpraktyczniejszy i najprostszy. A więc: długie spodnie krojem norweskim, (na krótsze pumpy może sobie pozwolić tylko bardzo wysoka i smukła kobieta), kurtka do bioder, szczelnie zapinana, pod nią pulower z rękawami i bluzką, buty grube o kwadratowych nosach, tłuszczem smarowane, dalej czapeczka lub beret, rękawice, szalik, skarpetki z wełny, dobrane wzorem i barwą. Oto temat zasadniczy, z którego snuć można nieskończone warianty.

Bo pomimo najbardziej sportowego nastawienia, nie należy zapominać, że się jest kobietą. Kobiecość znowu jest modna. Tylko zależy jaka, gdzie i kiedy. Pretensjonalne fioki w biurze przy pracy, rażą tak samo jak perfumy i szminka na śniegu. Ale można mieć silne nerwy, stalowe muskuły i prawdziwie olimpijskiego ducha, a czapeczkę dobraną do twarzy!

Ostatnio pewna zalotność i wdzięk niewieści, łagodzą oschłość narciarskiego stroju. Zarzucono męskie koszule, ściągnięte krawatem. Coraz częściej pod dżemprem i kurtką nosi się barwne bluzki lniane lub z bawełny z króciutkiemi rękawami w bufkę i okrągłym kołnierzykiem, odsłaniającym szyję. Zimno? Gdzie tam! Słońce górskie pali, nawet w trzaskający mróz bywa gorąco. Od czegóż zresztą szale i swetry? A pijąc herbatę w schronisku, jakże miło wyłuskać się z grubych wełen i zakwitnąć nagle nad stołem świeżością perkaliku.

Męską surowość urozmaica także folklor. Tyrol wprowadził do sportu jaskrawe hafty, maleńkie filcowe kapelusze z piórkami, szerokie, kolorowe paski. U nas, ileż pomysłów możnaby czerpać z motywów ludowych. Nie mówiąc już o góralskim samodziale, świetnym na spodnie, ale hafty huculskie czy kurpiowskie mogłyby zdobić prześlicznie także naiwne bluzeczki z kolorowego lnu wileńskiego. Proponuję dla blondynki: granatowy komplet narciarski, kurtka podbita modrem płótnem, modra bluzka haftowana biało i pąsowo, granatowy pulower, ponsowy szal, białe rękawice, czapka i skarpetki. Dla brunetki: brązowe spodnie, kurtka biała z wełnianego samodziału, podszyta płótnem pomarańczowem. Takaż bluzka, haft gęsty na kołnierzu i wzdłuż zapęcia brązowo - biało - zielony. Naturalne barwy muszą być dobierane bardzo umiejętnie. Kto woli nie ryzykować, może do ciemnego kompletu wprowadzić jasny akcent przez czapkę, rękawice, skareptki z grubej wełny robionej na drutach w kolorowe wzory. Widziałam takie rękawice, bardzo piękne, w naszych sklepach przemysłu ludowego.

Albo... ale fantazja mnie ponosi. Jest tyle możliwości, grunt żeby mieć pomysłowość, inicjatywę i nieodbiegając od wymagań, praktyczności i wygody, zaznaczyć jednak swą indywidualność. I to nie tylko swoją osobistą, ale swego kraju i narodu.

A kiedy już wszystko gotowe, walizka spakowana, plecak cięży na grzbiecie, deski na ramieniu, wystarczy tylko ująć kije w dłoń i — dokąd jechać? W Karpaty wschodnie czy zachodnie, w Pieniny czy na Śląsk, na Podhale? Do „perły Tatr" gwarnej i rozbawionej, ale dającej możliwość wysokogórskich zjazdów, czy do Bukowiny, która zapatrzona w cudowną panoramę szczytów, śni cicho sen o Zakopanem sprzed lat pięćdziesięciu? Do puszystej od lasów Wisły, falującej wzgórzami Rabki, światowej Krynicy, Czorsztyna malowniczego ruina zamku, czy do Jamnej, Worochty, Tatarowa, uroczych wiosek na huculszczyźnie?

Wszędzie jest słońce, szeroki oddech gór, dalekie horyzonty i wszędzie błękitna smuga na iskrzącym śniegu wabi ku sobie narciarski szlak! Ewa.



W sporcie polskim źle się dzieje

Ref eks e po zakończeniu sezonu

WYNIKI BERLIŃSKIE

Wyniki, osiągnięte przez sportowców polskich podczas Olimpiady w Berlinie rozczarowały niemal wszystkich i spowodwały grad zarzutów pod adresem kierownictwa, organizacji i samych zawodników. Communis opinio stwierdziła, że w sporcie polskim jest bardzo źle, że się cofamy do tyłu, że rezultaty tegoroczne są jednym pasmem kompromitacyj. Wskazywano tu, że winni są kierownicy sportu polskiego, oni zaś odparowywali te zarzuty wskazując na winę samego społeczeństwa.

Nie przesądzając chwilowo kto w tym „kompetencyjnym" sporze miał rację, stwierdzić trzeba, że alarmy o złym stanie sportu polskiego nie zupełnie są słuszne i zasłużone, jeśli opiera się je na samych tylko wynikach olimpijskich. Na tegorocznej Olimpiadzie ogólny poziom tak był wysoki, konkurencja tak rozmaita, a wyniki szczególnie amerykańskich murzynów i japońskich pływaków tak wyśrubowane, że o zdobycie pierwszych miejsc ubiegać się było istotnie niezmiernie trudno. A mimo to, przedstawiciele nasi znajdowali się w tej konkurencji kilkudziesięciu narodów niemal zawsze w pierwszej dziesiątce i zagrażali nieraz poważnie najlepszym. Oczywista, musimy mieć znacznie wyższe ambicje i aspiracje, jednak skoro nigdy dotychczas nie odgrywaliśmy w sporcie międzynarodowym zbyt wielkiej roli, nie można mieć przecież do nikogo pretensji i żalu, że na tegorocznej olimpiadzie nie posypały się dla nas złote i srebrne medale.

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

Co innego jednak, — nie same wyniki olimpijskie, — wskazuje, że w sporcie polskim niedobrze się dzieje i że nie tylko nie idziemy naprzód, lecz cofamy się w tył, że trzeba tu koniecznie poprawy i uzdrowienia... Alarmujące jest to przede wszystkim, że nie można było znaleźć w Berlinie, — jeśli już patrzyć przez pryzmat olimpijski, — wśród przedstawicieli polskiego sportu ducha walki, zaciętości i ambicji zespołowej, której przykłady dawali nam Niemcy, Włosi czy Japończycy (nie mówiąc już o braku rozsądnego i solidnego treningu przed Olimpiadą), że poszczególni zawodnicy polscy lub zespoły całe załamywały się najczęściej w decydującym momencie, że walczyli jedynie o wejście do finałów, w których z reguły nie starczyło już im ambicji i sił, — że niemal wszyscy osiągnęli wyniki znacznie poniżej swych możliwości, podczas gdy inni, nawet słabsi od nas, właśnie na Olimpiadzie zdobywali swe rekordy życiowe. Wymowną ilustracją tego jest to, że gdyby Kucharski i Lokajski w swych konkurencjach (800 mtr. i oszczep) osiągnęli na Olimpiadzie najlepsze swe tegoroczne wyniki, zdobyliby nimi dwa złote medale.

Innym alarmującym co do stanu naszego sportu wskaźnikiem jest skandaliczna nieraz frekwencja na zawodach i turniejach. Skandalem przecież i dowodem niezdrowych stosunków jest zgłoszenie się do trójboju o mistrzostwo Polski jednej jedynie zawodniczki. Dopiero w ostatni dzień musiano „z urzędu" wyznaczyć dwie dalsze zawodniczki, by ta mistrzowska konkurencja mogła się wogóle odbyć. A nie był to, niestety, wypadek odosobniony.

Ostatnim wreszcie wskaźnikiem i dowodem, że w sporcie polskim źle się dzieje, są tak liczne, co pewien czas ujawniane skandale i skandaliki jak unieważnienie zawodów i mistrzostw, przekupstwa, ucieczki graczy, wyniki śledztw dyscyplinarnych i dyskwalifikacje. I dla tego, rozpatrując sezon ubiegły nie pod kątem widzenia samych wyników cyfrowych i sportowych rezultatów, ale niewykorzystanych możliwości najlepszych, słabego rozwoju sportu wszerz i w dół oraz tych licznych ostatnio zgrzytów odsłaniających właściwe oblicze ubranego w mistrzowską koszulkę zawodnika, lub szachrującego przy zielonym stoliku „zasłużonego działacza", musimy dojść do wniosku, że w sporcie polsię do naprawy.

BEZIDEOWOŚĆ I APATIA

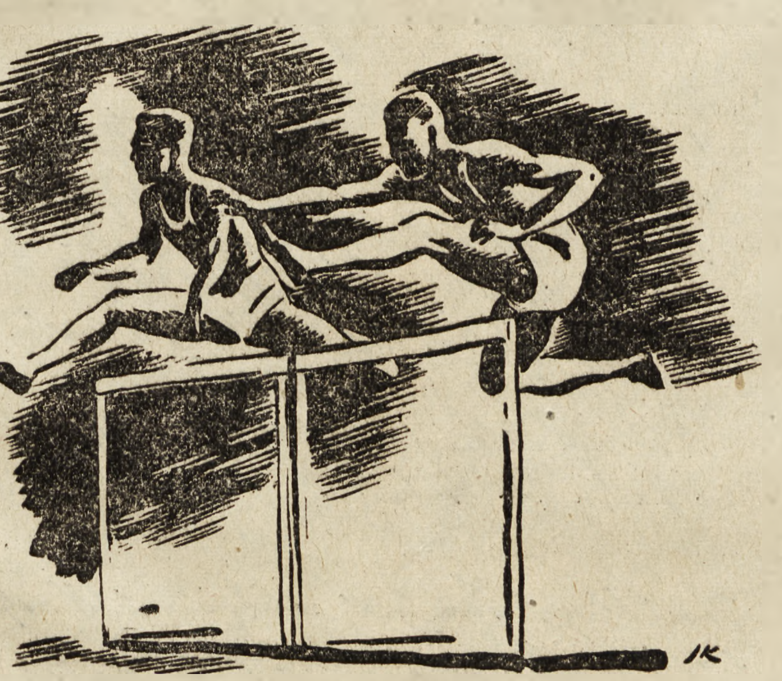
Oczywista, nie są to rzeczy proste. Przede wszystkim uświadomić sobie należy, że sport, będąc jednym z wycinków zbiorowego życia narodu, jest równocześnie w dużej mierze odbiciem innych tego życia zbiorowego dziedzin i panujących tam stosunków. Zależność ta najwyraźniej występuje w ramach rywalizacji międzynarodowej, w czasie konkurencji jednych narodów z drugimi. Wykazały ją przecież wszystkim podziwu godne wyniki olimpijskie Niemiec, Japonii, Włoch. Szczególnie rzucać się tu musi w oczy ogromny skok naprzód rzekomo zbiedzonych, wygłodzonych Niemiec, których przedstawiciele zagarnęli przecież lwią część złotych żetonów, wysunęli się nawet przed zdawałoby się niezwyciężonych Amerykanów. I skoro dziś, po Olimpiadzie mówi się w odpowiedzi na różne zarzuty, że winne tu jest przede wszystkim samo społeczeństwo, jego apatia, niechęć do organizowania się i brak wytrwałości, to zarzuty te są w dużej mierze uzasadnione, z tym jednak dodatkiem, że ten brak zapału i zainteresowania się oraz apatia ma swoje głębsze przyczyny i jest zjawiskiem wtórnym.

Sport w Polsce uprawiany jest nadal przez nielicznych, nie jest zjawiskiem masowym. I znowu wracamy tu do tej apatii, braku zapału i niechęci do organizowania się. Coś złego jednak musi być i w samej organizacji sportu, w jego kierownictwie. Zły musi tu być, bo zbyt mechaniczny dobór ludzi kierujących i decydujących, na co wskazują także częste przesilenia i zgrzyty personalne oraz liczne utyskiwania na niefachowość kierowników. Ktoś przecież musi odpowiadać za to, że obok naprawdę suchotniczych budżetów klubów i związków całych, obok ograniczeń na najpotrzebniejsze rzeczy, dojść mogło do tak karygodnego marnotrawienia grosza publicznego, jak np. budowa osławionego już „pałacu sportowego" w Kielcach.

CO TRZEBA ZMIENIĆ

Powodów niezdrowej atmosfery w sporcie polskim jest wiele i różnorakich. Zdaniem naszym, do wprowadzenia w stosunki sportowe atmosfery podrzędnego prowincjonalnego kabaretu z krzykliwą reklamą i dąsarami primadonn, z wzajemnymi intrygami, plotkami i przekupywaniem konkurencji, z bezideową i niską ambicją błyszczenia bez względu na poziom, przyczyniła się — poza wpływem stosunków z innych dziedzin polskiego życia, — część polskiej prasy sportowej oraz wąskie i niewłaściwe pojmowanie sportu jako czegoś samoistnego, nie mającego żadnego związku z życiem i dążnościami konkretnego narodu.

Część prasy polskiej, — nie będziemy wymieniać nazwisk ani też odcieni, — zawiniła tutaj bardzo, a winy tej nie mogą odciążyć zasługi jej w propagowaniu i wzbudzeniu zainteresowania sportem



wśród szerokich mas. Te sprawozdania z meczów, w których najważniejszy jest krzykliwy tytuł i drastyczne momenty, głupie wiadomości z prywatnego życia zawodników podlewane sosem sensacji, takież wywiady, nieraz przez samego dziennikarza przeprowadzane, tworzenie zbyt wczesne gwiazd i zbyt mało zasłużone ich deklasowanie, — byleby był sensacyjny tytuł i zwiększona poczytność, — oto liczne grzechy obciążające nieraz i najlepszych dziennikarzy sportowych. A takie informacje deklasują sport do rzędu cyrkowego widowiska i obniżają poziom moralny i rzeczywistą ambicję zawodników.

Co gorzej jednak, także część działaczy sportowych, różnych kierowników drużyn czy klubów, — winna jest tutaj dzięki niewłaściwemu pojmowaniu roli sportu oraz własnych obowiązków.

Nie sądzimy, by mogło być upraszczaniem i subiektywnym oświetlaniem tej sprawy stanowisko, że pośrednią winą jest tu pojmowanie w pewnych kołach sportowych sportu jako czegoś „międzynarodowego" niezależnego od żadnych względów rasowych i narodowych i odgrywanie na tym tle w sporcie polskim dużej roli przez żydów, nadających ton nieraz całym jego dziedzinom. Żydzi bowiem, choć mają swoje własne kluby i związki narodowościowe, przenikają bardzo silnie do polskich klubów i do polskich związków sportowych. Opanowali więc w dużej mierze prasę sportową i zaciążyli poważnie na jej poziomie i charakterze. Równie niebezpieczną jest obecność ich i rola w samych klubach i związkach nawet naczelnych, obniżająca poziom polskiego sportu do opartego na reklamie i machinacjach „geszeftu".

SPORT A NARÓD

Pamiętać trzeba zawsze, że sport i jego racja bytu ściśle związane są z życiem zbiorowym i przyszłością konkretnego narodu. Nie chodzi przecież o to, by ten czy ów zawodnik mógł znaleźć swobodne ujście swemu temperamentowi na boisku, by tłumy podnieconych widzów mogły podziwiać co niedzielę emocjonujące zawody piłkarskie czy bokserskie. Chodzi o rzeczy znacznie ważniejsze, — mianowicie o podniesienie poziomu i wyrobienia fizycznego w Narodzie Polskim i o zapobiegnięcie scherleniu grożącemu nam w miastach zadymionych i zagłodzonych wsiach. Chodzi o wychowanie zdrowych fizycznie i psychicznie Polaków, umiejących borykać się z trudnościami życia, i w razie potrzeby skutecznie broniących zagrożonych granic.

Oczywista jednak, że tak pojmować może sport jedynie ten, kto czuje łączność ze swym narodem i swoją za jego losy współodpowiedzialność, kto nie jest z nim związany luźnym jedynie węzłem lokatorstwa. I dlatego nie można się dziwić ani też brać za złe, że ten i ów żyd, zasiadający w zarządzie polskiego klubu lub co gorzej w władzach związkowych, nie dba w swej działalności o podniesienie poziomu fizycznego wśród mas, nie dba o poziom moralny zawodników i należytą etykę w stosunkach międzyklubowych, i że znacznie dla niego ważniejszą jest rzeczą kasowość meczów, zwycięstwo reklamowanego pupila czy podniesienie nakładu swego pisma.

W braku ambicji narodowej, która powinna być w sporcie wpajana i pokazywana „z góry", rodzić się muszą ambicje klubowe i personalne, kiełkować pomysły kaperowania graczy zamiast wychowywania narybku, szachrowania przy zielonym stoliku zamiast rzetelnego wysiłku w treningu i na boisku. A w zawodach międzynarodowych brak jest wówczas tego ogromnego dopingu, jakim jest poczucie zwiększonej odpowiedzialności, którą nakłada na każdego koszulka z białym orłem.

P. W.

Co jest i co będzie

Przegląd tygodnia

Teatry

Teatry TKKT, po separacji na oddzielne grupy, zmierzają do ostatecznego rozwodu. Powodem unieważnienia koleżeńskiego ich małżeństwa była — jak zwykle! — różnica charakterów i spory o posag (t. j. subwencję). Ponieważ związek ten nie miał charakteruru kościelnego (był ultracywilny!) — powrót do kawalerskiej niezależności dokonywa się stopniowo i bez bólu. Nawet reklamowe toaściki, chwalące tak niedawno śluby krótkotrwałe T. Narodowego z Polskim (i spółką pomniejszych) teraz śpiewają z weselem, że „wiwat semper wolny stan!" W „Hamlecie" użyto resztek stypy na ucztę nowożeńców, w reklamie TKKT zrobiono to samo, tylko na odwrót, a więc po szekspirowsku — od biedy postąpiono.

Oszczędność w przymiotnikach i powściągliwość w samo - pochwałach wyjdzie na zdrowie wzmiankom, w których panoszy się nieznośny barak reklamowy; „arcymistrz w arcyroli w arcydziele", to minimum oznaczać mające, że zasłużony artysta wystąpi w jednej ze swych poważnych ról.

Oczywiście taką przesadą zaraziły się teatry od reklam kinowych, gdzie każdy film jest conajmniej fenomenem, zaś arcydzieła się liczy na kopy. To razi w zastosowaniu do Moliera, Fredry, czy Wyspiańskiego.

Teatr Narodowy nazwać trzeba obecnie teatrem tęgich wznowień. Wskrzeszono „Skąpca", „Śluby" i „Wesele". Zapowiedziano na grudzień dawno nie graną „Cyganerię" Adolfa Nowaczyńskiego w reżyserii dyr. Solskiego. Słynną galerię typów starej Warszawy odtworzą: Węgrzyn, Leszczyński, Brydziński, Kurnakowicz, Dominiak i Łapiński, słowem gwardia, przyzwyczajona do zwycięstw. Batalion kobiecy stanowią: Jarszewska, Kuncewiczówna, Balcerkiewiczówna, Żeliska i Kajzerówna. Horoskopy augurów wróżą „Cyganerii" los „Fryderyka Wielkiego", który po wznowieniu butnie stoi na dwóch sezonach — okrakiem.

Teatr Polski wobec kasowej „Tessy", (porwanej jak Sabinka Nowemu), postąpił wzorem Łatki wobec Birbanckiego w „Dożywociu", to jest — nie pozwolił jej umrzeć. W tym celu usunięto smutne zakończenie sztuki i kazano Tessie żyć — wbrew autorce (dziś już tylko — po południu).

Gdy we Francji przerobiono kiedyś na pogodniej finał „Romea i Julii" — przyczano, że to barbarzyńswo. Dobrze, iż Kennedy to nie Szekspir!. Takie „życiodajne" cięcia chirurgiczne przynoszą widać szczęście, bo wycięty z powieści i krwawo okrojony przez reżysera Węgierkę „Pickwick" rozparł się w repertuarze na dwa z góry miesiące. Zelwerowicz baraszkuje w roli tytułowej, jak Marchołt; lecz cały zespół wyprzedza młody Woszczerowicz w groteskowym adwokacie. Słowem, po separacji — powodzi się dyr. Szyfmanowi lepiej, niż w małżeńskim pożyciu ze sceną Narodową przy dodatkowym wielożeństwo z dwoma bardziej płochymi scenkami.

Ale i on poważnieje, bo już w grudniu ma wkroczyć na górną drogę wznowień. Zapowiedział „Sułkowskiego" z arcy... przepraszam! — po prostu, z dobrą rolą tytułową Osterwy i w jego, odnowionej za dyrektoriatu krakowskiego inscenizacji. A więc wznowienie z odnowieniem: dyrektor Solski stanowczo przelicytowany! Wystąpi także w „Sułkowskim" B. Samborski, którego zbyt rzadko widujemy teraz.

W Małym Teatrze „Zwycięska Płeć" została pobita, choć nie na głowę, bo tej ta płeć nie posiada. Słowem, schodzi z repertuaru, ustępując za parę dni miejsca sztuce nowej i — o dziwo! polskiej, autora współczesnego. Rzadcy to goście w Polskim i Narodowym teatrze, żyjący autorzy polscy, więc miło jednego z nich powitać choć w Małej przybudówce.

Temat fascynujący: George Sand i Chopin. Ziembiński, wykształcony muzyk z „Tessy", odegra muzyka genialnego, oby kongenialnie. P. Przybyłko wznawia swoje przerwane dość dawno występy rolą odpowiedzialną i trudną — „wielkiej miłośnicy". Taka rola, jak przypuszczam, musi prowadzić w wielkość, albo — nicość... A więc Warszawa oczekuje premiery i jej wyników z istotnym zaciekawieniem. Sztuka ma tytuł „Lato w Naohant", autorem jest wybitny poeta Jarosław Iwaszkiewicz.

W salach Redutowych powodzenie „Dowodu osobistego" Jasnorzewskiej spowodowało odsunięcie na dalszy plan „Judyty" Giraudoux. Judytę ma grać Eichlerówna, która wydaje się odpowiednia ze wszech miar do postaci wzniosłej, namiętnej i dziwnie skomplikowanej. Obok niej Woskowska - Tatarkiewicz, Krzymuska, Damięcki, Wyrzykowski i Milecki. Reżyseruje Leon Schiller.

W teatrze Letnim po arcy... przepraszam, po doskonałej kreacji Stanisławy Wysockiej w słabo związanym „Złotym wiechciu" nastąpi jeszcze jedno wznowienie... Bowiem i ten płochy teatr zaczyna prawowiernie rować się na wielkim ołtarzu Mianowicie, wznawia „Żołnierza królowej Madagaskaru", farsę Dobrzańskiego, odnowioną przez Juliana Tuwima, z obiecującym występem Miry Zimińskiej i Mariana Maszyńskiego.

Triumfatorką w rekordzie powodzenia jest Maria Malicka, osiągająca przy pomocy Zbyszka (Zbyszek już lada dzień dojdzie do pełnoletności!) Sawana trzechsetny jubileusz „Trafiki Pani Generałowej" i zyskownej „Profesji Pani Warren". Te dwie panie założyły spółkę z nieograniczoną poręką w teatrze Malickiej i zmonopolizowały go całkiem. Jest to, nawiasem mówiąc, jedyny u nas monopol, dający poważne zyski. Banki nasze powinny się na Malickiej wzorować, a ministerium skarbu winno ją zrobić honorowym radcą. Niezadługo p. Malicka będzie teatrom TKKT udzielała subwencyj, jako „pomocy zimowej".

Teatr Ateneum dotychczas bawi Molierowską „Szkołą żon" w wybornym tłumaczeniu Boya. Obsada doskonała z Jaraczem, który z komizmu zazdrośnika wydobywa wszelkie możliwe odcienie. W przygotowaniu francuska krotochwila „Woźny i minister" Birabeau.

Wreszcie należy z sympatią powitać powstanie przemiłego teatrzyku „13 rzędów", w którym 13 obrazków Świątopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza bawi dowcipem, wzrusza (zlekka!) sentymentem, podcina satyrą niemrawe tempo powszedniości i zręcznie ujmuje (przez rękawiczki, bo to plami!) aktualności w stylu Paralewiczowej i sp.

„Rządowcy" są dobrze dobrani i sprawnie wyćwiczeni. Jak wesoła piątka (Mira Zimińska, Kraszewska Nabisówna, Bogucki i Fidler) zbiera żywe oklaski, niewymuszone żadną klaką.

Lalk.

Muzyka

Filharmonia Warszawska zapowiada na niedzielę 22 listopada o godz. 12-ej w poł., poranek muzyczny poświęcony Beethovenowi (w programie między in. symfonia „Erotca". Dyrekcja: Józef Oziminski, solista: Artur Balsam (fortepian).

Poniedziałek, 23 listopada, o godz. 8-ej w., Recital pianistki Magdy Taglia ero, a w piątek, 27 listopada o godz. 8-ej wiecz., koncert symfoniczny pod dyrekcją Willy Ferrero (Italia), solista: Jacques Thibaud (skrzypce).

Niedziela, 29 listopada, o godz. 12-ej w poł. poranek muzyki klasycznej. Dyrygować będzie kapelmistrz: Zofia Godlewska, solista Józef Wagner (pianista, laureat jednego z konkursów Chopinowskich).

Konserwatorium zapowiada na niedzielę 22 listopada koncert Claudio Brran świetnego pianisty.

23 listopada Wieczór kompozytorski Witolda Friemanna.

25 listopada Wieczór muzyki kameralnej: Thelma Reiss, wiolończ., John Hunt fort.

30 listopada Recital na dwuklawiaturowym fortepianie Wilfried Christi.

Kina

Na czoło filmów, wyświetlanych obecnie na ekranach Warszawy wysuwają się dwa nie dla ich bezwzględnej doskonałości, lecz raczej stosunkowo na tle ogólnej szarzyzny.

Pierwszy to **„Pod dwiema flagami"** (Atlantic), świadczy o nawrocie entuzjazmu do ideałów bohaterstwa i poświęcenia. Film z serii obrazów militarystycznych gloryfikuje legię cudzoziemską i jej walki i podboje w Afryce północnej. Sceny batalistyczne na pustyni i z okolicy Hollywood, wcale dobrze naśladującej Saharę, o dużym napięciu. Intryga dość banalna, oparta na miłości dwuch kobiet jednej „z towarzystwa", a drugiej z tawerny do tego samego mężczyzny daje jednak pole do podziwiania poświęcenia Claudette Colbert i bohaterstwa Ronalda Colmana.

Natomiast „Bohater" (Światowid) stoi wyłącznie wspaniałą kreacją aktorską Wallace'a Beery. Scenariusz bowiem jest wyjątkowo „bujdowaty", obfituje w typowo amerykańskie tricki, mające „zmrozić" krew w żyłach widzowi. Strzelaniny, zasadzki, puszcza podzwrotnikowa. Ratuje jednak wszystko Wallace Beery właściwy „bohater" filmu, który do galerii stworzonych przez siebie typów dorzucił sylwetkę sierżanta Dory, dezertera niebieskiego ptaszka, w którym drzemią jednak uczucia patriotyczne.. Dla niego i tylko dla niego warto ten film zobaczyć. Inni aktorzy, jak John Boles w roli amerykańskiego oficera spełniającego misję oraz Barbara Stanwyck, jak i treść filmu nie zwracają niczem naszej uwagi. Niektóre zdjęcia pierwszorzędne.

Stylowy „Cein i Mabel". Sympatyczna para Marion Davies w roli gwiazdy rewiowej i Clark Gable, jako bokser-mistrz świata, co zresztą mało pasuje do jego wyglądu. Oboje nie mają — na filmie — szczęścia do publiczności. Scenariusz raz po raz przerzuca nas ze sceny na ring by w końcu wszystko dobrze się skończyło. Ogółem — film miły i pozostanie przyjemne wrażenie.

„Turandot" (Roma) to opera, przerobiona na operetkę, a ta znów zainscenizowana: jako bajka. Koncepcję interesującą psuje niemieckie wykonanie, narzucające bajce wrażenie „parade marsall'u" Teatr w kinie, lecz o całe niebo niższy od komedji Cell'erte Gozziego, z której się wywodzi. Ale mimo tych braków obfituje w szereg momentów komicznych, wywołujących zdrowy śmiech na widowni.

Rialto pokazuje nam od dłuższego czasu Gary Cooper'a tym razem nie w roli bohaterskiego amanta, lecz w zwykłej komedii **„Pan z milionami"**, o zacięciu bardziej teatralnym niż filmowym. Gery jest tutaj milionerem z przypadku, którego krewni z powodu pewnych ekstrawagancyj niecałkiem normalnych oskarżają o niepoczytalność. Gary Cooper oczywiście wychodzi z tych zarzutów zwycięsko, udowadniając, że świat cały jest niepoczytalny. Połowa filmu toczy się na sali sądowej. Całość jednakże nie nużąca, ale też i nie „epokowa".

„Król kobiet" (Europa) 2 godziny rewii, kwadrans melodramatu. Brak widać na świecie wielkich ludzi, skoro filmowcy amerykańscy zajęli się tak poważnie życiem... Ziegfielda, znanego światu chyba tylko z Ziegfield Girls, z których wyszło wiele aktorek filmowych. Rewie rzeczywiście imponujące rozmachem amerykańskim, choć potęgą i bogactwem wystawy pragnie się zakryć ubóstwo pomysłów. Byłoby lepiej, gdyby rzecz kończyła się tylko na rewiach, stanowiąc pewien wierny zresztą przegląd mód od lat 90-tych XIX w. do chwili obecnej. W całą tę machinerię wtłoczono niepotrzebnie romans Powella z Luisą Rainer, śliczną, pełną wdzięku aktorką niemiecką, odbijającą się swą oryginalnoścą na tle standartowych piękności amerykańskich.

Poza tym wyświetlane są filmy „polskie", t. zn. produkcji krajowej.

W „Capitolu" już trzeci miesiąc idzie **„Trędowata"** z Barszczewską i Brodniewiczem w rolach tytułowych. Należy się spodziewać jeszcze paru tygodni, ponieważ conajmniej ¼ kucharek i ½ pokojówek warszawskich filmu tego nie odwiedziła.

„Wiernej rzeki" (Pan) nie byłem zdolny jeszcze zobaczyć.

W Filharmonii premiera **„Po burzy"**.

W Colosseum „Tajna Brygada", film szpiegowski.

Apollo wyświetla polski film **„Ada to nie wypada"**. Sam tytuł mówi już wszystko.

W „Bałtyku" znowu Powell, tym razem z Carolą Lomwent w komedii „Mój pan mąż" na fantastyczny temat o biedaku, który stał się bogaczem, dzięki miłości milonerk, która go robi najpierw majordomem, a potem swoim panem. Możliwe, że tak się dzieje... w Ameryce.

O wszystkich tych filmach napiszę wkrótce obszerniej.

St. Nieć.

Sztuki plastyczne

W sobotę nastąpiło w IPS-ie otwarcie szeregu nowych prac. Zbiorową wystawę rysunków i drzeworytów Tadeusza Kulisiewicza oglądać możemy po raz pierwszy od r. 1932. Na okazję tę czekali oddawna liczni miłośnicy sztuki tematycznej i ortopedycznej, której Kulisiewicz jest tak wybitnym w młodym pokoleniu grafików przedstawicielem. W dziale grafiki pokazano ponadto prace Władysława Jahla oraz zbiorowo zaprezentowano grafików francuskich: Dubrenila, Frélauta, Goerga, Gromaire'a i Laboureura. Rzeźby Augusta Zamoyskiego„ malarstwo Władysława Lama i Witolda Leonharda. Sprawozdanie z wrażeń w następnym numerze.

Radio

Niedziela, dn. 22. 11.

Zwraca uwagę w „Teatrze Wyobraźni" komedio - opera Dmuszewskiego: „Skoda wąsów", osnuta na motywach staromodnych piosenek w opracowaniu L. Schillera d. 22 b. m. o 16.30.

Zaś o godz. godz. 19 tegoż autora „Gody Weselne" — oczepiny, rozpleciny i t. p.

Poniedziałek, 23. 11.

Koncert o godz. 22.00, transmitowany z Poznania, w wykonaniu chóru im. Moniuszki, solistów i orkestry smyczkowej. W programie dwie kantaty dawnych mistrzów: kompozytora polskiego z początku XVIII, Grzegorza Gorczyckiego oraz Jana Sebastiana Bacha. Pozatem w koncercie wykonany zostanie Karola Stamitza Koncert na viola d'amore. Jako solista wystąpi Jan Rakowski.

Czwartek, dn. 26. 11.

Siódma z rzędu audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" o godz. 21.00 poświęcona zostaje Juliuszwi Zarębskiemu. Kompozytor ten urodzony w roku 1854 w Żytomierzu, znany był swego czasu, w całej Europie, jako twórca muzyczny i jako doskonały pianista. W audycji radiowej usłyszą radiosłuchacze utwory fortepianowe, oraz kwintet fortepianowy g-moll w wykonaniu J. Turczyńskiego i członków „Kwartetu Polskiego" (Dubiska, Ochlewski, Szaleski, Adamska).

Piątek dn. 27. 11.

O godz. 20 transmisja koncertu z Warszawskiej Filharmonii.



Polityka i grafologia

Czy z charakteru pisma można poznać indywidualność autora?

Poniżej zamieszczamy w fotograficznych odbitkach 7 urywków rękopisów najgłośniejszych polityków i wojskowych Polski Odrodzonej.

Z charakteru pisma oraz jego treści należy odgadnąć nazwiska autorów, pożądane jest przytem dołączenie krótkiego uzasadnienia grafologicznego i treściowego. W razie nie odgadnięcia wszystkich nazwisk należy przysłać rozwiązanie częściowe.

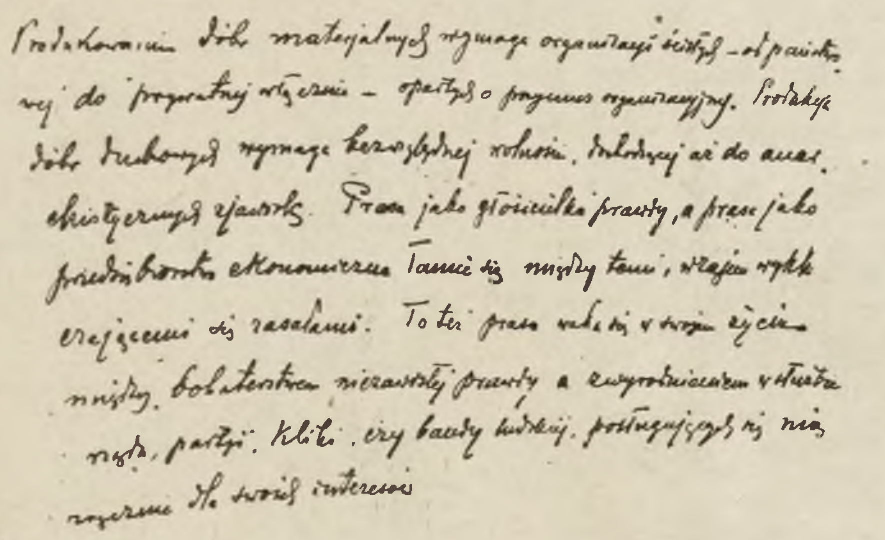
Jako nagrody za najtrafniejsze rozwiązania zostały przyznane:

I nagroda — 50 zł.

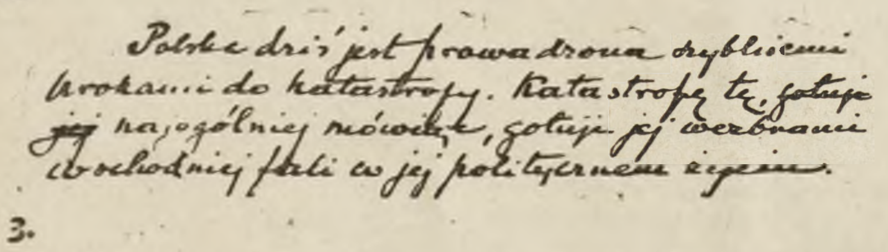
oraz pięć II-ch nagród w postaci kwartalnej prenumeraty „Podbipięty" i dziesięć III-ch nagród w postaci miesięcznej prenumeraty „Podbipięty". Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Podbipięty", Warszawa, Al. Ujazdowskie 39 m. 5 Winno być do nich dołączone: imię, nazwisko i adres uczestnika konkursu. Kopertę należy opatrzyć napisem „Konkurs grafologiczny".

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa w dniu 10 grudnia. Redakcja „Podbipięty" zastrzega sobie prawo publikowania wybranych odpowiedzi. Uczestnicy konkursu zastrzec sobie mogą nieujawnianie, w razie publikacji ich nazwiska. (W tym wypadku należy obok nazwiska dołączyć inicjały lub pseudonim). Odpowiedzi anonimowe nie będą brane pod uwagę.

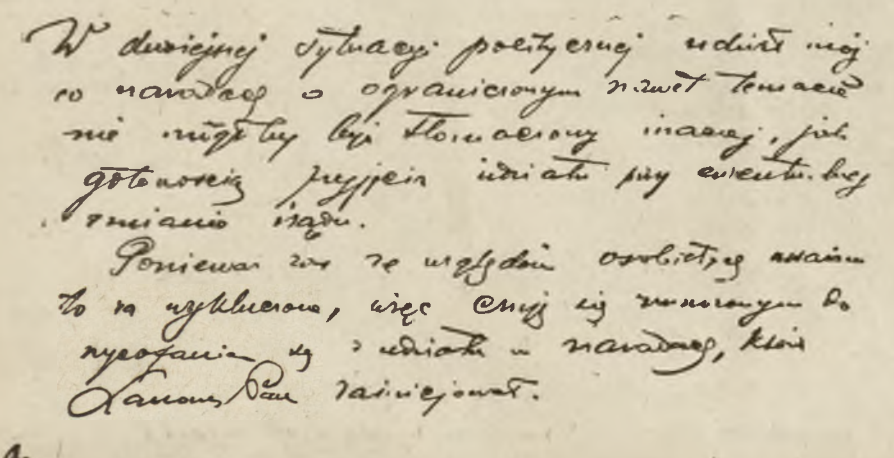
1.


Produkowanie dóbr materjalnych wymaga organizacji [illegible] – od państwowej do prywatnej włącznie – opartej o program organizacyjny. Produkcja dóbr duchowych wymaga bezwzględnej wolności. [illegible] aż do naszej [illegible]. Prasa jako głosicielka prawdy, a prasa jako [illegible] ekonomiczna [illegible] [illegible]. Toteż prasa [illegible] nigdy bohaterstwa niezawisłej prawdy a [illegible] partji [illegible] [illegible] interesów

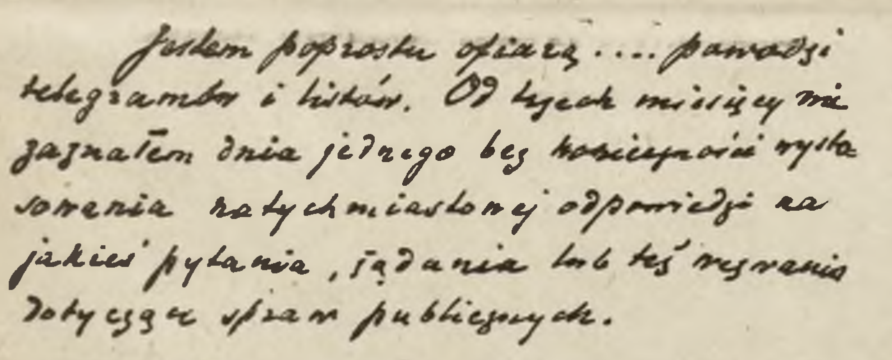
2.


Polska dziś jest prowadzona szybkiemi krokami do katastrofy. Katastrofę tę gotuje jej najogólniej mówiąc, gotuje jej wezbranie zachodniej fali w jej politycznem życiu.

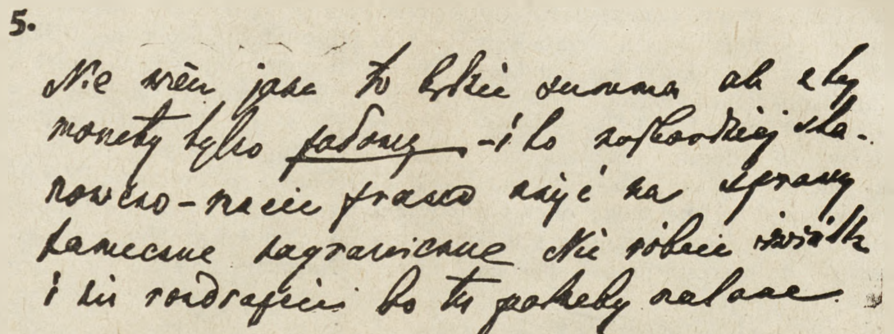
3.


W obecnej sytuacji politycznej udział mój w naradach o ograniczonym nawet terminie nie mógłby być tłumaczony inaczej, jak gotowością przyjęcia udziału przy ewentualnej zmianie rządu.
Ponieważ [illegible] ze względów osobistych uważam to za wykluczone, więc czuję się zmuszonym do wycofania się z udziału w naradach, które Szanowny Pan zainicjował.

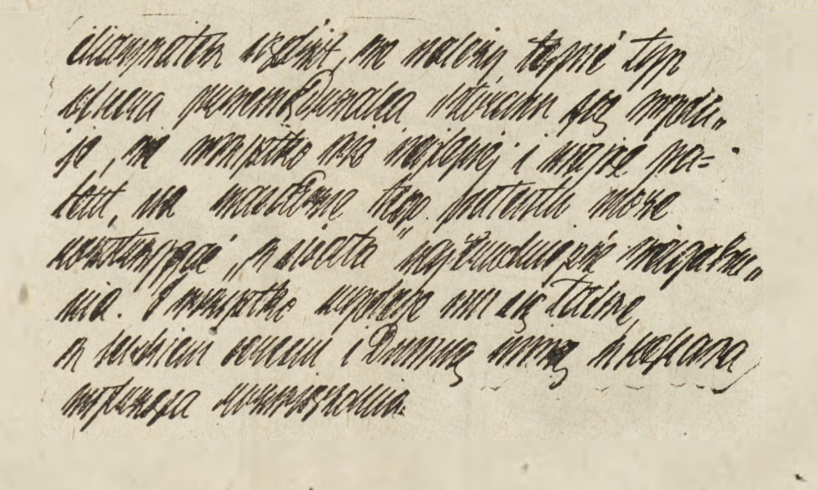
4.


Jestem poprostu ofiarą .... pewnych telegramów i listów. Od trzech miesięcy nie zaznałem dnia jednego bez konieczności wysłania natychmiastowej odpowiedzi na jakieś pytania, żądania lub też wezwania dotyczące spraw publicznych.

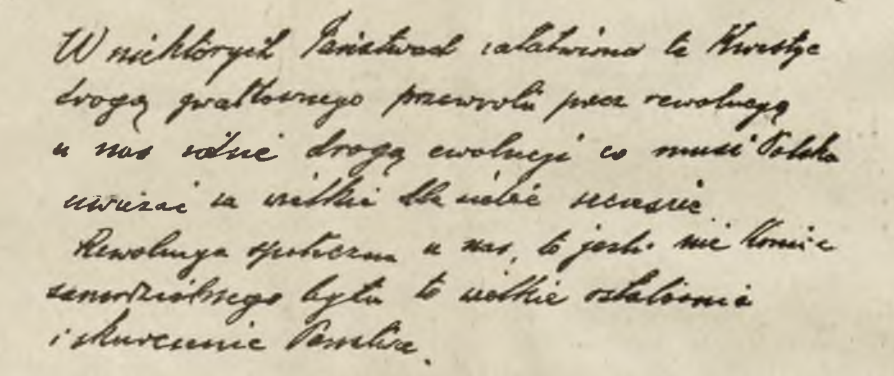
5.


Nie wiem jaka to będzie sanacja ale chyba monety tylko fałszywe – i to [illegible] [illegible] frazesu [illegible] na sprawy [illegible] zagraniczne [illegible] [illegible] i [illegible] bo [illegible] [illegible]

6.



7.


W niektórych Państwach załatwiono tę kwestję drogą gwałtownego przewrotu przez rewolucję u nas zaś drogą ewolucji co musi Polska uważać za wielkie dla siebie szczęście.
Rewolucja społeczna u nas, to jest [illegible] byłaby to wielkie osłabienie i zburzenie Państwa.

Przez moje okienko

Pomoc zimowa

Pan Atanazy Jalusiński był dzisiaj wyjątkowo przygnębiony. Walczył wprawdzie z sobą i nie poddawał się, przywoływał na pomoc cały zapas dyscypliny urzędniczej i długoletniego treningu, ale wszystko to dawało jakoś bardzo mizerne rezultaty.

Pan Jalusiński zajmował skromne, ale odpowiedzialne stanowisko w jednym z ministerstw i tak dokładnie potrafił przejąć się swoją rolą, tak odczuć i zrozumieć swoje zadania urzędowe i z nimi związaną pracę społeczną, że nie wiele czasu pozostawało mu na zastanawianie się nad własnym losem, potrzebami i kłopotami.

Życie rwało wartkim strumieniem, pan Atanazy nie pozostawał w tyle. Kiedy należało subskrybował, podpisywał, zrzekał się, rozładowywał bezrobocie, dozbrajał, odpowiadał Treviranusowi, budował szkoły, siał swymi składkami oświatę na kresach, popierał Huculszczyznę, stawał do apelu, był w pogotowiu, entuzjazmował się, gdy była po temu potrzeba w ramach swej organizacji, równał w dół, ściskał nożyce cen, witał i żegnał swych szefów, składał życzenia imieninowe, ze sztandarem swego związku asystował na dworcu przy wyjazdach i przyjazdach dygnitarzy państwowych, wiwatował, manifestował, stał frontem do wsi i do miasta, frontem do bezrobocia i oświaty, do LOPPu, FOMu, FONu i wielu, wielu innych. Był po prostu ideałem urzędnika państwowego, co zresztą lojalnie przyznawali mu wszyscy zwierzchnicy.

Tym bardziej męczył go dzisiejszy stan, tym surowiej sądził swoje nastroje, nieusprawiedliwione ani atmosferą ostatnich uroczystości, ani ogólną sytuacją Państwa. Ze zgrozą stwierdził, że nie tylko nie może przejąć się powszechnie panującym entuzjazmem, ale, co gorsze, maleńkie i nic nieznaczące kłopoty osobiste nie pozwalają mu upajać się w całej pełni radosnym nastrojem chwili. Całe miasto tonie w sztandarach, girlandach i festonach, rozsłonecznione tłumy przeciągają przez odświętnie przybrane ulice, a on tymczasem grzęźnie w jakichś przyziemnych i nieodpowiednich rozmyślaniach.

Na pytanie jednego z kolegów, któremu rzucił się w oczy niespotykany u niego objaw depresji, odrzekł wprawdzie ze zbolałym uśmiechem z przyzwyczajenia raczej niż z przekonania:

— Byczo jest! — ale to hasło nawet wydało mu się dzisiaj jakieś blade i bez wyrazu.

Pan Jalusiński zląkł się. Przez skołataną głowę płynęły bez ustanku, niczym już niekrępowane, myśli o ratach i spłatach, o wpisach szkolnych, komornym, węglu, nieopłaconych rachunkach za gaz i elektryczność, o krawcu i szewcu. Nadchodząca zima potęgowała potrzeby i stwarzała nowe. Życie pierwszy raz wydało się Panu Jalusińskiemu nie tak różowe i interesujące. Podczas codziennej urzędowej herbatki nie miał ochoty nawet przejrzeć gazety, nic go nie interesowało. Siedział apatyczny i osowiały.

— Pan Naczelnik prosi Pana do siebie — wyrwał go nagle z tej nieprzyjemnej kontemplacji głos woźnego.

Pan Jalusiński drgnął. Nie spodziewał się dzisiaj wezwania do szefa, gdyż od dawna nie miał żadnej sprawy, wymagającej omówienia.

— Może redukcja — pomyślał w pierwszym momencie, — ale chyba nie — starał się natychmiast uspokoić, — przecież jestem dobrze notowany.

Obciągnął marynarkę, przygładził zmierzwione włosy i pełen niepokoju zastukał do gabinetu zwierzchnika.

Za biurkiem stał przyjaźnie uśmiechnięty szef.

— Gratuluję, serdecznie gratuluję — rzekł, energicznie ściskając rękę zdziwionego urzędnika. — Co, może Pan jeszcze o tym nie wie? Ależ tak, został Pan odznaczony Krzyżem Zasługi Szczerze się z tego cieszę, zawsze uważałem Pana za wzorowego urzędnika.

Jalusiński osłupiał z szalonej radości. Usiłował w jakiś sposób dziękować, ale nic z tego nie wychodziło. Przed oczyma latały mu gwiazdy, wstęgi i krzyże, czuł się jakiś większy i godniejszy. Znikły gdzieś i w cień poszły mizerne dotychczasowe zmartwienia. Jest przecież Kawalerem Krzyża Zasługi, to jedno jest teraz ważne. Czuł po prostu, jak wraca mu energia i wiara w siebie. Ze wzruszeniem obracał w ręku blankiet P. K. O., na który miał wpłacić kilkanaście złotych za krzyż. Nie ma już kłopotów, zima nie jest już straszna. Rozgrzało go czyjeś gorące serce...

TEDDY.

O wpływie B. Russel'a na polskie przysłowia

Z przysłowiem tym

Tragiczny będzie finał:

Miast — „Gdzie Rzym, gdzie Krym?..." — —

— „Gdzie Rzym(owski), gdzie krym(inał)?"

Na nowe sukcesy berlińskie Nojego

Pytał mądry Nojego,

Na co rozum zda się?

— Aby biegać wciąż w kółko

W rekordowym czasie...

Janusz Minkiewicz.



...Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy...

A. Mickiewicz
„Pan Tadeusz", ks. III, „Umizgi"



Hocki-KOCki

Redaktor odp. Antoni Szperlich.
Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z. o. o.
Redaktor Jan Rembieliński
Kierownik działu literackiego Stanisław Miłaszewski.
Drukarnia Literacka, Al. Jerozolimskie 121